

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Po wyborach. — Kwestya żydowska w parlamencie austriackim p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Chwile. 2. Bór. (Fantazya) p. F. Błodowskiego. — *Sprawy ekonomiczne:* Feodalizm przemysłowy p. K. R. Żywickiego. — *Życie społeczne:* Epilog „sprawy wadowickiej“ I. p. Z. Atanazego. — O wystawie paryskiej ze stanowiska inżynierii i przemysłu IV. p. A. Pawłowskiego. — *Badania naukowe:* Z historii magnetyzmu i hipnotyzmu p. K. — *Literatura i sztuka:* Listy wiedeńskie p. Stwosza. — Teatr p. F. B. — *Poezya:* Percy Bysshe Shelley p. Gabryela Kempnera. — *Felieton:* Liberum veto p. Pośła Prawdy. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

PO WYBORACH.

W jednej ze swych szyderezych mów przeciw postępowcom, którzy zawsze byli kamieniami jego wątroby, rzekł Bismark: mieliśmy tuzin socyalistów, mamy teraz drugi — i od trzeciego głowa nas nie zabolę; w każdym razie wolimy ich, niż podkomendnych p. Richtera. Z dziwną złośliwością spełnia los często słowa żartem na wiatr rzucone. Ostatnie wybory do sejmu dały kanclerzowi niemieckiemu już nie trzy, ale około pięciu tuzinów socyalistów, pomnożywszy równocześnie szeregi Richtera. Takiego przybytku nie spodziewał się on. Kiedy wypowiadał swoją lekceważącą przeciwników drwinę z ich wzrostu, czuł w ręku siłę, która zamachów na nią się nie lęka a nawet dla wypróbowania ich niemości wyzywać je może. I rzeczywiście Bismark siłę taką — było to jeszcze za życia Wilhelma I — posiadał w bezwzględnej zaufaniu monarchy i narodu. Cesarz patrzył na świat oczami swego kanclerza, rządził jego wolą, zasadami i kaprysami; kraj posyłał mu do sejmu większość przedstawicieli życzliwych, uległych i usłużnych. Co wtedy mógł obchodzić Bismarka jakiś tam tuzin albo dwa socyalistów? Powoli jednak ten długotrwały obraz wszechwładztwa kanclerskiego zaczął tracić swe jaskrawe barwy i niknąć, aż wreszcie zamienił się na stary, wyblakły gobelin z niewyraźnym rysunkiem, usuwany do... muzeum historycznego. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, pomimo okrzykiwania doradcy dziadka „wielkim chorążym“, pomimo całowania w rękę jego żony, pomimo hołdów, odwiedzin i wspólnych obiadów, Wilhelm II nie został owym Mefistem, w którym ukryci szachiści rozgrywają partye na turniejach, postanowił grać je sam, jawnie, przez siebie i dla siebie, często nie uwzględniając

wskazówek mistrza z „galeryi.“ Nie pomogło związywanie zerwanych nici stosunku zapomocą lojalizmu z jednej a szacunku z drugiej strony — różnica zdań i kierunków polityki między monarchą a kanclerzem zaznaczała się coraz wyraźniej. Jednocześnie i naród, który od ćwierć wieku stanowił zbiorowe medium dla potężnego magnetyzera, zaczął się budzić ze snu hipnotycznego i odzyskiwać swą niezależność. W wyborach poprzednich, gdy Bismark spojrział na to medium i „podał mu myśl“, natychmiast wykonywało ono, czego żądał. Tym razem, czy nie użył swej sztuki, czy też ona go zawiodła, dość że medium objawiło swoją własną wolę — rozpedziło znaczną część kartelowców, najwierniejszą służbę kanclerza i wybrało zdwojony zastęp jego przeciwników.

Czy to znaczy, że Bismark powinien wreszcie usłuchać życzliwej rady jednego z dziennikarzy warszawskich i ustąpić? Tak źle z nim jeszcze nie jest. Ze swoją naturą polityka „realnego“, gotowego zawsze porzucić słabych i zwrócić się ku silnym, z tą czią, jaką jeszcze u tronu i narodu posiada, może on rządzić do śmierci lub sam sobie wyznaczyć chwilę opuszczenia steru. Narodowo-liberalni zamienili się na szmat topniejącego śniegu, a socyalisci i postępowcy spadli z góry wielką bryłą — to powaliłoby ministra teoretyka, ale nie „realistę.“ Pozostają mu przeciw konserwatystom i... ultramontanom, którzy dotąd stanowili opozycję, ale dadzą się bez wielkich wysiłków przeciągnąć na stronę „chóru landratów.“ Jeżeli tedy Bismark pozostać zechce, większość w sejmie mieć będzie. Ale całkiem inna kwestya, czy on, wielkorządca państwa, prokurent korony z nieograniczoną ufnoscią, bożyszcze narodu, człowiek z nałogami dumy i samowoli a z drażliwością siedemdziesięcioletniego starca, zdobędzie się na tyle „realizmu“, ażeby puścić mimo uwagi samodzielne ruchy cesarza i nieprzyjazny zwrot w usposobieniach narodu, który mu potroił opozycję? Takiego sejmu Bismark jeszcze nigdy nie miał, od czasu

jak swą polityką Niemców hipnotyzować zaczął.

W kwestyi tej jest jeden punkt, który zasługuje na bliższą z naszej strony uwagę. Jeżeli Bismark nie zniechęci się rezultatem świeżo dokonanych wyborów po stracie narodowo-liberałów, to — jak rzekliśmy — złoży większość z konserwatystów i ultramontanów (centrum). Otóż po wejściu tej nowej planety w system rządowy, co stanie się z jej trabantem — Kołem polskim? Czy i ono także wejdzie w skład „chóru landratów“? Wątpimy. Odlączone od wozu, którego było piątem kołem, pozostanie bez oparcia, bez gruntu własnego, którego sobie nie wyrobiło. Było ono kątnikiem w pałacu Windhorsta, który mu przytułek wymówi lub liberyę rządową przywdziać każe.

Czy posłowie polscy uprzytomnili już sobie całą zmianę swego położenia — nie wiemy, ale że ono postawiło ich w innych i bardzo niebezpiecznych warunkach — to jest dla każdego widocznem.

Od lat wielu, a zwłaszcza po smutnych doświadczeniach z „ojcowską opieką“ papieża i jego sługą Dinderem, prasa polska, nienależąca do „czarnej międzynarodówki“ radziła Kołu polskiemu, aby ono zdobyło się na większą samodzielność i obejrzało się za innym związkiem. Chwilowo nawet można było mniemać, że zwróci się w kierunku tej rady. Nałóg wszakże przemógł i zatrzymał gromadkę na wydeptanych ścieżkach. Do ostatniej chwili maszerowała ona według komendy i pod dowództwem Windhorsta. Teraz gdy ów Windhorst z konfederaty zamieni się na hetmana rządowego i połączy swe szeregi z konserwatywnymi, Koło polskie będzie miało tylko dwie drogi: albo popełnić samobójstwo, albo odrzucić kule, wypożyczone od ultramontanów, i stanąć o własnej sile. Wkrótce zapewne zobaczymy, co wybierze.

KWESTYA ŻYDOWSKA

w parlamencie austriackim.

Projekt ustawy, regulującej zewnętrzne stosunki prawne religijnej społeczności żydowskiej, dawno już przyjęty przez Izbę panów, wniesiony został przez rząd austriacki do parlamentu, gdzie rozprawy nad nim sięgnęły daleko swym znaczeniem. Zanim naszkicujemy przebieg obrad, zaznaczamy, że prawne stosunki żydów, jako wyznawców religii mojżeszowej, określa w Austrii artykuł zasadniczej ustawy państwowej, znoszący wszelkie dawne rozporządzenia: atoli formy administracji autonomicznej, opartej na nowym ustroju politycznym, wymagają ustawy wykonawczej, któraby ścięła pole samowolnego postępowania władz politycznych. Projekt rządowy traktuje religię żydowską jako wyznanie jednolite, nie wchodząc w różnice sekt poszczególnych, a za podstawę organizacji wyznaniowej bierze żydowską gminę wyznaniową. Projekt ten usuwa tedy stopniowanie hierarchiczne. Reguluje on natomiast organizację gmin i kompetencję organów wyznaniowych, określając zarazem pole i sposób wykonywania nadzoru państwowego.

Dyskusja ogólna nad tym projektem była wielkim turniejem parlamentarnym antysemitów niemieckich z żydami i obrońcami praw ich obywatelskich. Nigdy może nie słyszeliśmy gadaniny bardziej jałowej i niesmacznej, aniżeli w owych trzech dniach, kiedy mówiono o kwestyi żydowskiej: ani jednego nowego punktu widzenia, ani jednego olśniewającego fajerwerku parlamentarnego. Jedni wależyli oklepami frazesami i cytarami antyżydowskimi, drudzy nie mniej oklepami i oszczepami liberalizmu. Jeżeli mimo to czytelników *Przemyśli* zapoznać chcemy z wywodami niektórych mówców, to jedynie z uwagi, że stanowisko, jakie zajęli w tych obradach polacy, i światło, jakie padło na postępowanie narodu czeskiego w sprawie żydowskiej, przynosi zaszczyt słowiańskim żywiołom parlamentu austriackiego.

Przemówił naprzód antysemita Türk, który wykazując rozmiary „panowania żydowskiego“, sprzeciwiał się ugaszczaniu siedmiu milionów izraelitów przez ludy aryjskie, a zwłaszcza wychodźców z Rosyi. Na poparcie tych wywodów przytoczył Türk,

że Rotschild w Czechach posiada osiem razy więcej dóbr ziemskich, niż rodzina cesarska, że żydzi w Galicyi ogarnęli 80% własności większej i przeszło połowę małej, dalej że baron Popper jest panem większej części komitatu nitrańskiego. Druga część przemówienia Türk'a poświęconą była dowodzeniu, że żydzi używają krwi chrześcijańskiej; dowód ten opierał się głównie na twierdzeniu służącej, która będąc w domu Türk'a, opowiadała mu, że przebywając poprzednio u żydów, budziła się często z ciałem pokutem.

Po przemówieniu ministra Gautscha, który objaśniał stanowisko rządu, prazki profesor dr. Zucker (żyd) odpowiedział Türkowi. Według niego źródło antysemityzmu tkwi w nienawiści wyznaniowej i rasowej. Zarzucają żydom — mówił on — że udział ich w bankructwach nieuczciwych jest o 19 razy większym, aniżeli nieżydów: okoliczność ta objaśnia się faktem, że żydzi występują w handlu 15 razy liczniej, aniżeli nieżydzi. W Wiedniu istnieje 500 firm wielkich, 450 żydowskich, 50 nieżydowskich; tych 50 firm posiada jednak dziesięć razy więcej, aniżeli 450 żydowskich. Rotschild niema w Czechach ani piędzi ziemi a Popper w komitacie nitrańskim ani jednego drzewa; co do Galicyi powoływał się Zucker na dane zebrane przez Szecepanowskiego. Pomijamy dalsze jego wywody, które rzekomą bezwplywowość żydów wykazują w sposób równie sofistyczny, jak Türk dowodził ich wszechpotęgę. Jeden tylko jeszcze ustęp przytoczymy. Zucker domagał się, by żydów pragnących wstąpić w szeregi społeczeństwa, wśród którego żyją, przyjmowano jako członków narodu, nie jako obcych. I tu złożył hołd ludowi czeskiemu, który powinienby czuć żal do żydów z powodu, że zwolna tylko politycznie się z nim łączyli i że dziś jeszcze po części tylko się zaasymilowali, a który mimo to ani o włos nie odstępuje od liberalnego, braterskiego niemal ich traktowania.

Antysemita Pscherdenowi, który wchodził w szczegóły projektu, odpowiedział rabin Bloch, poseł kołomyjski, przytaczając całą bibliotekę na korzyść żydów. Dowcipnym był wywód jego o zarzutach czynionych izraelitom. W Austrii oskarżają ich, że zbyt wiele wysyłają dzieci do szkół publicznych; w Galicyi — że omijają szkoły. Skoro żyją wystawnie, zowią ich Geldhabami; skoro żyją oszczędnie, uchodzą za skąpców. Biorąc udział w życiu publicznym,

narażają się na zarzut natręstwa i arogancji; nie biorąc, słyszeć muszą, iż są bez narodowości i bez ojczyzny. Kiedy idą z rządem, mówią im: żydzi zawsze trzymają się silniejszego; kiedy łączą się z opozycją, wówczas — rozkładają stronnictwa polityczne. Zwracając się przeciw antysemityzmowi niemieckiemu, przypominał Bloch, że żydzi roznosili wszędzie niemieckość, zasługując na nienawiść innych ludów; Niemcy zaś odwiedzają im się dziś, odnawiając hasło „hep, hepp!“, którego ani po polsku, ani po czesku przetłumaczyć nie można. Bloch zakończył długą mowę swą słowami Smolki: „Prawdziwą miarą cywilizacji narodów jest postępowanie ich względem innowierców.“

Trzeci, ostatni dzień dyskusyi ogólnej, powołał trzech mówców polskich w szranki przeciw Luegerowi, Türkowi i Pattajowi. Radca ministeryalny Rittner zapewniał, że zarówno w układzie ustawy, jak w przeprowadzeniu jej rząd dalekim będzie od chęci krępowania swobody wyznaniowej. Bloch żądał był poparcia powagi rabinów w gminie; Rittner w imieniu rządu zaznaczył, że w wewnętrzne sprawy gmin żydowskich rząd mieszać się nie może. Hr. Piniński dotykał w przemówieniu swem kilku punktów szczegółowych, zwłaszcza hierarchii wśród duchowieństwa żydowskiego. Przy końcu zaznaczył stanowisko, zajmowane przez posłów galicyjskich: głosowali oni nieraz za ustawami niekorzystnymi dla żydów (np. o lichwie), za pewnymi paragrafami nowej ustawy karnej itd., lecz występowali zawsze tylko przeciw wyzyskowi, nigdy przeciw żydom.

Lueger odpierał żądanie Zuckra, by żydom zasymilowanym przyznano prawo obywatelstwa. Według niego narodowość nie polega na języku, musi ona być odziedziczona. Trafne były wywody jego o zepsuciu prasy żydowsko-liberalnej; która zajmując stanowisko wielkiego kapitału. Podobnie jak Türk, zapowiedział, iż antysemityzm skończy się dopiero z ustaniem wpływu żydowskiego w życiu ekonomicznym i umysłowym.

Ostatni głos miał referent projektu, poseł Gniwosz. Zwrócił on się przeciw mówcom antysemickim, którzy rozbudzając nienawiść, chcą pozyskać taną popularność. Zarzucał im, że wywody ich nie zawierały wniosków pozytywnych; jedynym było żądanie, aby rząd polecił przełożenie Talmudu. Lecz rząd nie jest zobowiązany starać się

CHWILE.

2. BÓR.

(Fantazja).

Było chłopię małe snem spowite.

Był bór wielki śpiący, szarą mgłą nocy zakryty.

Wstało słońce i chłopca zbudziło, w powieki go całując.

Wstało słońce i nad lasem mgły inne — ozłocone, białe, błękitne zawiesiło.

Zobaczył chłopiec, że bór jest w czemś schowany i począł narzekać:

— A może boru już niema za tą płachtą! Wielka byłaby szkoda, bo piękniejszy jest, niż ogród przy chacie. Pójdę zobaczyć.

I pobiegł co tchu, a przez drogę rosy mu liczo umyły, a wiatr na niem rumieńce rozdychał, a słońce w oczkach jego się przejrzało, niby w krynicy błękitnej, ciemnej na dnie — i drogę przed nim wyłociło — drogę ku mgłom wiodącą — do boru.

Było słońce to nisko, jakby po ziemi toczyć się miało, i chłopiec przeciw niemu biegnąc, oczu nie mrużył, a w żrenicę słoneczną spoglądał prosto — w żrenicę złotą,

co przez mgły różowe migotała. I znowu narzekał przed sobą:

— A może ono dziś w górę nie poleciał Wielka byłaby szkoda, bo w górze ma jasność ogromną, aż mi oczy od niej ślepną, a przed oczami kręgi latają.

Zdaleka bór zapachniał i chłody wilgotne przeciw chłopcu słał, by mu czoło uzojone otarły. A słońce pękiem strzał złotych rozdarło płachty mgliste, wiszące na drzewach.

Weszło chłopię rozradowane pod sklepienia ze snu jeszcze nieruchome i ciche, a w cichociśnieniu rżnięcie brylantowe. Pod nogi mu lży te spadały, po mchach i trawach się rozsypywały — po roślinkach snem stulonych. Jedna zwysoka upadła, pod listek się zatoczyła i zabłysła krwawo na jagodzie wielkiej, czerwonej.

Zerwał chłopiec jagodę i cieszył się, że wielka, a potem idąc, za małemi już się nie rozglądał, tylko wielkich wypatrywał, na których iskrzyły się rosy brylantowe. Takie gęsto nie rosły, więc odchodził coraz dalej i dalej, aż bór go otoczył ze stron wszystkich — bór, co dla chłopca małego był niby świat niezmierzony, niekończący się.

Lęku jednak nie czuł, bo oto słońce nie po ziemi się toczyło, ale nad nim pływało, w głębi bezchmurnej i między szczytami drzew przepływając, śledziło go okiem wielkim, coraz goręcej i jaśniej płonącym.

Ze spojrzeń tych upał spływał i falą ciężką nad lasem się przelewał. A wiatr kędys

w jar daleki zapadł, tylko wietrzyki małe chichotały, czepiając się gałązek wysokich. Sosny stały nieruchome, dech w sobie zaparłszy, a paprocie żółknące trzymały nad ziemią zasłonę z liści szerokich utkaną, wzorzystą. Pod nią ziemia chłodem oddychała.

Szedł chłopiec po wstędze zielonej, między paprociami się snującą i leszczyną rozłożystą, szedł i wypatrywał, które sosny wyżej sięgają, a przed najwyższą zatrzymał się i wzrok na jej szczycie wieszając, myślał:

— Gdy będzie południe, zobaczę słońce na wierzchu tej sosny. Ono na najwyższej odpoczywa.

Przyległ w mchu niedaleko drzewa i czekał, rychło-li słońce tam na szczycie sięgać. Wtem posłyszał szmery jakieś, napływające do lasu, a niebawem zobaczył gromadę ptaków różnych, które zlatywały z wielu stron. Rozsiadły ptaki te po drzewach, porywając się co chwila do lotu, krzycząc i nawołując się. Niespokojne były, trwóżne.

Patrzył chłopiec w górę, szukając co by je tak trwożyło i zdumiał się wielce, bo oto z tej głębi, gdzie słońce samo jedno pływało, spadał ptak duży — na bór spadał z błękitów.

Ogromnym wydał mu się ptak ten na niebie i wspaniałym, gdy tak od słońca spadał, rozpostarłszy wielkie skrzydła.

o przykład dzieł teologicznych dla przywódców pewnych stronnictw, którzy chcą nauczyć się czegoś, o czym wypowiadali się, zanim się nauczyli. Nie przeczy on, że żydzi mogą się stać poniekąd niebezpiecznymi dla ludności krajowej, ale nie wskutek swych wad rasowych lub przepisów rytualnych, lecz wskutek mniejszych potrzeb, większej w pracy wytrwałości i niższych cen, jakie ofiarowywać mogą. Od tej konsekwencji bronić się należy nie pustem mieleniem wyrazów, ani propagandą podbudzającą barbarzyńskie instynkty mas, lecz pracą. Niemcom, którzy zdają się wątpić o sile własnej ludności, zalecić należy, aby na wzór galicyjskiej ludności wiejskiej potworzyli kółka rolnicze i przemysłowe, wszechstronnie przeprowadzali program samopomocy, zamiast głosić nienawiść wyznaniową i rasową.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Utwierdzając się w swych przypuszczeniach echemi własnych domysłów i głosów, dziennikarze codziennie podpisują dymisy Bismarka z kancelerstwa. Dusza polityczna Niemiec, ich bóg, bez którego woli żaden wróbel z dachu nie spadł, oś, na której od ówczesnego wieku obraca się państwo — *der grösste Statsmann* miałby już być gratem politycznym? Niepodobna tema uwierzyć — i zdaje nam się, że prasa przedwcześnie odśpiewuje nad nim egzekwie. Że on z obecnymi warunkami pogodzić się nie może — to jest widoczne; ale wtedy dopiero, gdy śmiała ręka zechce wyrwać z ziemi ten dąb, okaże się, jak on głęboko i szeroko zapuścił korzenie.

Po całych Niemczech rozlegają się okrzyki tryumfu socjalno-demokratów, którzy już zwyciężyli w 21 okręgach a w 59 stają do wyborów ściślejszych. Jak olbrzymio żywioł ten rozrasta się, przekonywają cyfry jego głosów wyborczych. Tak np. w r. 1878 oddano ich do urny w Stuttgarcie 4,496 a w r. 1890—10,372; w Kolonii 4,952—10,688; w Bremie 7,743—14,843 itd. I to jest rezultat praw wyjątkowych przeciw socyalistom. Rzeczywiście, w cudzą piętę mierzył a w swój nos uderzył.

Chociaż wybory niemieckie — jak to wykazałszy dawniej — dały lekcję poglądo-

wą Francyi, jej prasa zachwyca się nimi z tego powodu, że w Alzacyi i Lotaryngii zwyciężyło paru „protestujących“, właściwego zaś ich i donioslejszego znaczenia nie widzi. Bo i co ona może widzieć, zajęta spisem potraw zjadanych przez ks. Orleańskiego w więzieniu. Może teraz, gdy go przeniesiono do Clairvaux, pomyśli o czem innym. Z jednej strony zuchwała postawa dzienników orleańskich, z drugiej — natarcia radykałów, żądających amnestyi dla swych męczenników, zmusiły rząd do zatrzymania w kowie młodego księcia. Ułaskawienie go wszakże jest tylko kwestyą czasu a z Clairvaux można będzie wywieźć paniczka z mniejszym hałasem.

Stare bogi się walą lub idą na wygnanie. Andrassy umarł, Bismark grozi odejściem, Tisza znosić musi coraz gwałtowniejsze ataki opozycji, dla której stał się czerwoną płachtą. Może żaden parlament nie brzmiał tak ciągle wybuchami gorszących skandalów, jak węgierski. Samo ukazanie się Tiszy wywołuje wścieklą burzę krzyków i złorzeczeń. Najzimniejsza krew w takim ogniu wreszcie zagotuje się, najmocniejsza wytrwałość znuży się.

Rosya przez sprawującego jej interesy w Sofii konsula niemieckiego zażądała od Bułgaryi wypłaty długu, pozostałego z kosztów wojny. Podobno rząd bułgarski odpowiedział, że pieniądze czekają w kasie na odebranie. Skąd one wzięły się w pustym niedawno skarbcu?

Proces majora Panicy nie przebiega drogą otwartą, lecz przebywa pewne tunele, w których o jego ruchu wiedzą tylko ci, co w nim bądz jako maszyniści i konduktorzy, bądz jako pasażerowie jadą. Właśnie teraz znajduje się w tunelu.

Otto Hausner umarł.

SPRAWY EKONOMICZNE.

FEODALIZM PRZEMYSŁOWY.

Kraje, w których brak jawnej walki partyjno-politycznej, nie mogą pochlubić się w większości wypadków głębokiem pojmo-

się, że stronnictwa parlamentarne, stojące na wprost przeciwnych od siebie krańcach, zbliżają się nagle ku sobie chwilowo dla obalenia istniejącego gabinetu. Taktyka postępowania jest tutaj tak przezroczystą, że każdy ją zrozumie, nawet najmniej rozwinięty politycznie. Lecz sprawa nie zawsze wygląda tak prosto. Odpowiednio też sam sąd o przedmiocie zaciemnia się. Przy-
puszczamy, że francuska grupa ultramontańska występuje z projektami na polu ustawodawstwa fabrycznego. Komuś, w kraju niewyrobnym politycznie, zdawać się może, że stoimy na dziwnym przełomie społecznym, kiedy żywioł, zapatrzoną w dawną uprzywilejowaną przeszłość lub w różne państwa paragwajskie, zrzeknie się swoich marzeń wyzysku i wejdzie w szeregi, które walczą przeciw ciemności. Jednakże świadoma zagranica inaczej sądzi o tych objawach. Gawel będzie dla niej zawsze Gawłem, Paweł — Pawłem, lubo jeden i drugi mogą spotkać się przypadkiem na drodze tych samych żądań...

Kilka tych słów nasunęło nam się z powodu dekretów ces. Wilhelma i sądów, jakie odezwwały się z tego powodu. W niedawnym artykule naszym usiłowaliśmy oświecić odpowiednio tę sprawę, znane zaś dotychczas wyniki wyborów do parlamentu niemieckiego zupełnie usprawiedliwiają nasze pojmowanie. Mówiąc o dekretach, wspominaliśmy o istnieniu całego prądu społeczno-reformacyjnego, który nazwalismy feodalizmem przemysłowym. Chcemy obecnie o nim pomówić szczegółowiej. Naturalnie nie przedstawia on zgola czegoś jednolitego w rozmaitych swoich wyrażeniach; mamy tu raczej do czynienia z mnóstwem najrozmaitszych odcieni i kierunków, zależnych od podłoża, na którym wyrastają. Wszystkie jednakże polegają na dążności przystosowania ustawy prawno-politycznej odpowiednio do nowoczesnych metod produkcji, tak, aby różne strony ujemne, w rodzaju pauperyzmów, przesileni, anarchii rynku roboczego i niepewności jutrzejszego zarobku, były usunięte, wraz z niemi zaś zgaszone zarzewie wzrastającego niezadowolnienia i parcia w kierunku przewrotnym, a jednakże mimo to wszystko była utrzymana własność prywatna. Atoli nie wszystkie pojedyncze potoki ruchu wyłożyły jasno zakreszone koryto. Większość nie wybiegła po za poroży nawskróś żywiołowe i nieświadome i zaledwie odłam, który wyrósł na gruncie interesów szlachecko-ul-

Rozsypała się rzesza ptaków drobnych, pierzchając przed tym wielkim, i zebrała się w innej stronie, a gdy był nisko i nad borem leciał tak wolno i równo, jakby płynął, skrzydłem, niby wiosłem, zawadzał o szczyty sosen, one wróciły i leciały za nim z krzykiem, ale nie odpowiadał im, tylko czasem większe fale powietrza skrzydłami zagarniał lub mocniej o gałęzie uderzał, syjąc z nich igły zdarte.

Sledził chłopiec lot ptaka i myślał, że pewnie na tej sośnie spocznie, gdzie słońce siadało. A on i jej szczyt tracił i minął, jakby mu za lichą była; w dół opadł, ku sośnie leciał nędznie, niskiej, obumarłej pod cieniem, którym ją wysokie siostrzyce nakryły. Na wierzchołku suchym stanął, szponami go objawszy, skrzydła złożył i tak nieruchomy pozostał, jakby do drzewa przyrósł i zamarł.

Nad nim w kole stały szczyty drzew wielkich i chwiejąc się, pokłon oddawały, czy jemu, czy tej z sosen najlichszej.

I latały nad nim ptaki małe, ale umęczyły się krzykiem i rozpierzchły, a w borze znów ucichło.

Patrzył chłopiec na ptaka, napatrzeć się nie mogąc i rozmyślając:

— Niema wspanialszego! Co on widział ten ptak? Może słońce zbliżka, może cały świat. A teraz nikogo i nie już nie zobaczy, bo oslepił pewnie od jasności.

Wtem zbliżył się człowiek jakiś, a ujrawszy ptaka, stanął, przyjrzał mu się i ręką zamachnął, aby go zgonić i w locie zabić, bo wstyd mu było strzelać do siedzącego nisko.

Ale ten nie widział go i nie słyszał.

Wymierzył człowiek doń i strzelił, a zatrwożył się bardzo w tej chwili, bo nie ptak śmiercią uderzony, zajęczał, ale pierś ludzka, gdzieś obok, jęknęła żałosnie.

Ptak skrzydła rozpostarł do połowy, jakby do lotu zerwać się miał, ale pochylił się tylko raz i drugi, niby pokłon oddając słońcu i głębi błękitnej, gorejącej, skąd zleciał; pochylił się raz jeszcze, niby pokłon składając przed borem, który go przyjął, a potem zawisł na wierzchołku, albowiem szpony ostre wpiły się weń mocno i nie puszczały. Odłamał się suchy wierzch, z chrzęstem posypały się gałęzie łamane i ptak spadł. A nie miał już wleciec w błękity słońeczny.

Nad nim chłopiec mały jęczał, złorzecząc człowiekowi, który tu przyszedł.

— Czemuś to uczynił? Czy znasz tego ptaka?

Odrzekł:

— Nie znam, ale że był wielki, więc szkodę mógł czynić, dlatego go zabił.

Zatrwożył się chłopiec, spoglądając w oczy tego człowieka i na ręce jego, z których wypadła śmierć dla wielkiego ptaka i nie mówił już nie, tylko odbiegł z tego miejsca.

A gdy znów stanął pod sosną, najwyższą a zatrzymał się i myślał:

— Czemu ptak na tem drzewie nie usiadł, byłby uszedł śmierci!

Wtem zbliżyli się ludzie obcy i mówili między sobą, wskazując na drzewo:

— To zetniemy, bo najwyższe.

Przeraził się chłopiec niezmiernie i zaczął uciekać, ile tchu mu starczyło. A lęk drogę przed nim wydłużał, a smutek twarz mu wybielił, a żyły mu żreniczki mroczyły.

Wypadł z lasu i rozejrzał się po niebie, ale nigdzie nie mógł słońca dostrzedz. Za siebie spojrzął, a ono na ziemię spadło i toczyło się krwawe, omglone, bez jasności, aż zatoczyło się za czarną krawędź ziemi.

Zapłakał chłopiec, wołając:

— Teraz słońce nie pokaże się wcale, bo widziało dziś ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

Rozelkany, żałosny wrócił do domu.

Usnął bór wielki. Mgły nocy szare go zakryły.

Usnęło chłopię małe. Żal odeń nie odlatywał i na ustach sennych wciąż jedną skargę budził:

— Widziałem ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

F. Brodowski.

tramontańskich, zdał sobie jasno sprawę z dróg i ostatecznych celów. Jest to kierunek, na który bezwarunkowo warto zwrócić uwagę. Cokolwiek możnaby o nim powiedzieć, rzecz pewna wszakże, że daje wysokie wyobrażenie o wiedzy społecznej swoich ojców duchowych. Umysł ludzki narzucił już swoje panowanie wielu żywiołowym siłom przyrody; ujął np. liczne a nader szkodliwe swoimi wybrykami rzeki w groble i tamy, zmusił elektryczność do zbiegania po piorunochronie i nieszkodzenia budynkom. Uczynił to w następstwie zapoznania się z siłami przyrody, nie idąc przeciw prawom natury, ale właśnie korzystając z ich biegu. Podobnie społeczeństwo przedstawia dotychczas nieokreślony jeszcze żywioł naturalny, rozwijający się samorzutnie i niezależnie od świadomości ludzkiej; poznanie jednak praw jego może doprowadzić do pewnych nader poważnych wyników celowego wkraczania w grę sił społecznych. Otóż odłam ultramontańsko-społeczny należy właśnie do nielicznych partij, które z większą świadomością usiłują nadać rozwojowi społecznemu bieg określony, lecz zgodny z warunkami chwili. Posiada on głębokich teoretyków, jak le Playa i ks. Hitze (brat tego ostatniego został wezwany, zdaje się, do składu komisji przygotowawczej dla dekretów ces. Wilhelma II), ma dzielnych przewodców politycznych, jak np. de Mun we Francji, księcia Lichtensteina i Vogelsanga w Austrii; urządza stałe zjazdy, gdzie rozwija swoje zamiary i uświadamia je szerszym kołom *) Korzystając z tego wykończenia dążeń, przedstawimy je drobiazgowiej, tem samem wyznaczając zasadniczą istotę feudalizmu przemysłowego. Kiedy poznamy podstawy jednego z kierunków, łatwiej zrozumiemy inne odcienie.

W artykułach naszych wykazywaliśmy, jak rozkładająco działają nowoczesne metody produkcji, upostaciowane w maszynie. Rozpreżenie samo polega na tem, że urządzenia prawno-polityczne są zbyt ciasne dla pomieszczenia objawów, wywoływanych przez istnienie w społeczeństwie szczególnych sposobów wytwarzania. Ów pogląd jest zasadniczem twierdzeniem całego rozpatrywanego kierunku. „Kwestya społeczna polega na znalezieniu ustroju społecznego, któryby tak odpowiadał nowożytnym stosunkom produkcyjnym, jak to czynił swego czasu ustrój średniowieczny względem istniejących wtedy na wsi i w mieście prostych stosunków“ (Hitze). Wiemy też, jak maszyna działa niwelująco w najrozmaitszych dziedzinach życia społecznego, jak wywołuje ruch wśród ludności, niszczy powagę rodziną i wszelką inną itd. „Określone stosunki własności tworzą niezłomne zwyczaje i mocno wyrzeźbione typy, ruchliwa zaś i zmienna własność wpływa burząco i depcząco na charakter i obyczaje.“ Idzie zatem o stworzenie organizacji społecznej, która powołałaby do życia dawną mozaikę stosunków wraz z ustalonymi powagami. Przedewszystkiem należałoby zapobiedz dotychczasowemu rozkładowemu działaniu maszyny i ukroć jej wymagania wolności procedury i wymiany w sferze towarowej, a równouprawnienia i swobody przesiedlania się wśród świata ludzkiego — słowem, za pomocą podatków i innych środków powstrzymać rozwój samego kapitalizmu. Najważniejszą jednak sprawą w tym względzie jest unormowanie wielkiej produkcji w sposób znośny dzisiejszą walkę konkurencyjną. Każdy wielki przedsiębiorca otrzymywałby drogą odpowiedniej instytucji społecznej określoną liczbę zamówień, stosownie do przewidywanego stanu rynków i dozwolonych prawem rozmiarów zakładu; przepełnienia zatem dróg zbytu produktami i przesilenia zostałyby zniesione i wśród tłumów robotni-

czych usunięto jedno z najgłośniejszych źródeł niezadowolenia: niepewność jutra. Ten kierunek społeczny pokłada wielką nadzieję w związkach kartelowych, regulujących wzajemne współzawodnictwo. „Kartel jest jedynie wstępnym szczeblem, przez który przechodzi wielki przemysł, dążąc do obowiązkowego połączenia; dążnością wyrwania się z tegoczesnej anarchii.“ Lecz nie dość tego. Dzisiejszy wielki przemysł zamyka robotnikowi wszelką drogę widoków na przyszłość. Maszyna nie zna wieku, ani zasług, dla niej wszyscy pracujący są jednacy; w młodym wieku można zdobyć zarobek, który pozostanie niezmienny do końca życia. A zatem należałoby wprowadzić w wielkim zakładzie odpowiednią hierarchię niższych i wyższych stanowisk, odpowiednio do wieku i zasług, samą zaś fabrykę uczynić instytucją, opartą na podstawie dawnego patryarchalnego stosunku pana do poddanego. W tym względzie francuska *Association catholique des ouvriers* wypracowała drobiazgowy program. Pewna liczba przedsiębiorców tego samego fachu łączy się w korporację, do której należą robotnicy. Jedni i drudzy płacą pewne sumy, z których powstaje majątek korporacyjny, służący dla różnych celów: pomocy w razie choroby, emerytury, wsparcie dla szkół fachowych itp. Zarząd spoczywa w ręku syndykatu mieszanego, złożonego z przedsiębiorców i najmitów, wychodzącego nie z wyboru, lecz drogą zasług prawem wyznaczonych. Sami robotnicy są uszeregowani hierarchicznie; zniszczy to samowolę kapitalistów w wynagradzaniu i oddalaniu zwłaszcza jeśli państwo pospieszy z wydaniem praw obowiązkowych co do wznoszenia się po owej drabinie; ostatnim szczeblem, który z obowiązku przypadnie każdemu najmłodsze po pewnej liczbie lat, szczególnych zasługach itd., będzie należenie do syndykatu. Zatargi pomiędzy kapitałem a pracą zostaną załatwione przez sądy rozjemcze, złożone z przedstawicieli stron obu. Oddzielny warsztat winien przedstawiać jedną rodzinę, gdzie najmita świadom jest swego miejsca i podwyższenia, jeśli uczyni zadość wszystkim wymaganiom postawionym przez ustawodawstwo, gdzie wreszcie każdy jest zabezpieczony na przypadek starości, choroby, nieszczęścia. Słowem, zorganizowanie stanowe przedsiębiorców według zawodów w odpowiednie kartele gospodarczo-politycznej natury; układ hierarchiczny robotników w ogniwa fabryczne, najwyższego zaś ogniwa w związek robotniczo-zawodowy, jak to widzimy wśród przedsiębiorców. Oto są żądania w sferze ustroju politycznego. Stosowna ustawa prawna, przypominająca otrzymywanie średniowiecznej godności majstrowskiej, ogranicza zakładanie nowych przedsiębiorstw.

Powyższe środki dążą do zniszczenia ujemnych społecznie następstw maszyny w zakresie warstw wielko-przemysłowych. Ale jednocześnie z tą działalnością winna podążać inna, wzmacniająca zachowawczo-stanowe pierwiastki teraźniejszości, a mianowicie własność i irremiabilność. Prócz powstrzymania ruiny należy je powiązać w organizację zawodową, polityczno-gospodarczą ze stosownie ukształtowanym przedstawicielstwem politycznym. Wogóle układ stanowy jest ostatnim wyrazem zachowawczości społecznej. Zamiast szablonoowego wykształcenia ogólnego, niech nastanie stanowo-fachowe; zamiast jednostajnej a równoprawnej postaci obywatela, niech ukaże się różnobarwna mozaika stanowców; zamiast bezwzględnej wolności działań ekonomicznych — oddanie jednostki pod władzę korporacji zawodowych. Naturalnie to wskrzeszenie stosunków średniowiecznych musi liczyć się z warunkami tegoczesnej chwili. Dawniej właściciel ziemski był ekonomicznie jednostką niezależną, dziś zmuszony jest do połączenia się w związki powiatowe i prowincjonalne dla przeprowadzenia różnych ubezpieczeń; cech nie wy-

biegał ongi po za miasto, obecnie winien się zamienić na korporację co najmniej okręgową; wielcy przedsiębiorcy niegdyś stali niezależnie od siebie, teraz każdy zawód musi się łączyć w kartel odpowiedni... Równoprawność obywateli wraz z powszechnem głosowaniem zginą, istnieje tylko przedstawicielstwo stanowe. Taka organizacja społeczna, gdzie każdy posiada jasno określone miejsce, gdzie wszelka niepewność jutra została zniesiona już wskutek pohamowania skutków maszyny, to znowu drogą wzajemnego stanowego ubezpieczenia, gdzie niema gorączkowego współzawodnictwa dzisiejszego i nieuzasadnionej a szkodliwej nadziei dojścia jaknajwyżej, taka organizacja społeczna spełni wielkie zadanie dziejowe nowożytniej epoki: przystosuje ustrój prawno-polityczny odpowiednio do wymagań metod produkcyjnych. Co więcej, wywiąże się z tej powinnością na podstawie zachowawczej dzięki właśnie owej mozaice i hierarchii stanów, stanowo-zawodowej oświacie, braku pierwiastków myślowo-rozkładowych...

Tak wygląda ideał francuskich i austriackich społeczników ultramontańskich. Widzimy w nim próbę rozwiązania obecnej kwestyi społecznej stosownie do interesów wielkich właścicieli ziemskich (pierwsze miejsce polityczne) i duchowieństwa. Zależność ta owego wymarzonego ustroju od sobkostwa klasowego wspomnianych grup w powyższym naszym zarysie występuje niewyraźnie; niepodobna nam jednak było zapuszczać się dla braku miejsca w rozmaite drobiazgi, które wyswietliłyby bliżej tę łączność. Ideał ów, odtwarzający według nowożytniej stopy średniowieczne stosunki społeczne, doznal odpowiedniego uzupełnienia w niektórych innych projektach. Chodzi mianowicie o unicestwienie proletaryatu wiejskiego i wytworzenie rolnych a stałych czynszowników folwarcznych z ruchliwego zastępu obecnych najmitów wiejskich, tak, że z feudalizmem fabrycznym zapanowałaby też podobny porządek na folwarku. Zresztą wymarzony przez Hitzego i de Muna ustrój wygląda odmiennie wśród innych, dążących do usunięcia obecnego niedomagania prądów zachowawczo-społecznych. Wystarczy, gdy zamiast szlachetków wiejskich i socjologów w sutannie, wystąpi państwo biurokratyczne, a łatwo pojąć, że w ideale zajęć winny głębokie zmiany stosownie do klasowego podścieliska nowych rzeczników. Przyjmie on odpowiednią postać biurokratyczną. Zresztą kierunek ten ostatni dotychczas idzie po omacko, bez jednolitego a spójnego planu, lubo w swych środkach zapobiegawczych wciąż zmierza ku marzeniom stanowym. W tym razie dość przyrzec się pilnie dotychczasowej pracy Wilhelma II, którego zresztą nie darmo posądzają o sprzyjanie antisemitom Stöckerowi, jednemu z najwybitniejszych i świadomszych przedstawicieli nowoczesnej stanowości i feudalizmu przemysłowego. Naturalnie, niepodobna wyrzec, ile jest w działalności młodego cesarza błakania się po omacko, a ile pierwiastków świadomości; lecz niektóre próby dają wiele do myślenia. Ciekawa rzecz, jak dalece podąża w tym kierunku zamiary wyrażone w dekrete, choć wątpimy mocno o dodatnich zachowawczych skutkach wobec postawy partji najmickiej. Ze zmierzają one ku organizacji stanowej, rzecz ta nie ulega — zdaje się — wątpliwości, lubo i w tym razie biurokracyzm, to dziecko niwelacji kapitalistycznej, może wypłacać figla. Co więcej, dekrety z konieczności prowadzą ku dalszemu idealowi zachowawczych społeczników — uregulowaniu produkcji. Jeżeli warstwa robotnicza występuje z żądaniami międzynarodowego prawodawstwa, nie dba o skutki tych reform dla kapitalistów i niech całe nawet gałęzie przemysłu zbankrutują, to ją mało obchodzi. Odpowiednio w bezrobociu pierwszego maja zamierza ona żądać wszędzie jednakich reform. Inaczej jednak spr-

*) W przeszłym roku odbył się np. drugi zjazd społeczników katolickich Austrii, t. z. *Katholikentag*.

wy stoją, kiedy z stosownym projektem występuje państwo. Musi ono bronić interesu swoich kapitalistów — nawet w międzynarodowym ustawodawstwie fabrycznym, jak to zaznaczył wyraźnie Wilhelm II. Ustawodawstwo zaś to nie może być w tym razie wszędzie jednakie, jakkolwiek też nie może być znowu niejednakowe. W tej okoliczności spoczywa cała trudność zamiarów państwowych. Przypuśćmy bowiem że w Anglii i Niemczech przeprowadzone np. jednaki dzień roboczy. Wtedy angielskim przemysłowcom, którym podcięto już przez odpowiednie ustawodawstwo skrzydła bardziej niż niemieckim, daną zostanie szczególna premia w współzawodnictwie na rynku wszechświatowym w porównaniu z tymi ostatnimi. Oparcie międzynarodowego ustawodawstwa na jednakej zasadzie, doprowadziłoby zatem niemieckich przedsiębiorców do ruiny! Niemcy przeto winny żądać niejednakowego dla odmiennych państw ukształtowania owej reformy. Lecz czy różne Anglie i Francye zgodzą się na coś podobnego i pozwolą się w ten sposób rugować z rynków? Przeprowadzanie projektu jest możliwe jedynie wtedy, kiedy przedsiębiorcom oddzielnych krajów zapewnionoby na stałe dawne rozmiary rynku, np. wydzielonoby Niemcom jakieś rynki środkowoafrykańskie, Anglii — chińskie itd., lub też kiedy przy dostawie na ten sam rynek oddzielne państwo miałoby prawo dostarczyć określony procent towarów (ku czemu winny powstać szczególne ekonomiczne instytucje kontroli). Naturalnie sama ta umowa winna się zmieniać co lat kilka, odpowiednio do stanu rynków. Jest to właśnie świadome regulowanie produkcji międzynarodowej. Oddzielne państwo ma w ten sposób odcięte rozszerzanie swojej fabryczno-wywozowej produkcji i musi w dalszym ciągu dojść do jej regulowania pod każdym względem wewnątrz kraju. Zbyteczna nadmieniam, ile w tym wszystkim natręcza się trudności praktycznych i rzecz ciekawa, jak one zostaną rozwiązane. Mając właśnie to na uwadze, twierdził w poprzednim artykule, że dążności Wilhelma II zmierzają ku regulowaniu za pomocą kartelów międzynarodowych samej produkcji. Porównyując przytem dekrety Wilhelmskie z dawnymi żądaniem Szwajcaryi, powiedzieliśmy, że chociaż i te ostatnie podyktowane zostały przez interesy przemysłu szwajcarskiego, były wszakże wolne od zamiarów regulowania rynku. Był to błąd z naszej strony, który popełniliśmy, ufając naszej pamięci, lubo przeczył nasz własny pogląd teoretyczny. Bardzo radzi jesteśmy zatem ze sprostowania, umieszczonego skwapliwie *) w ostatnim numerze *Głosu*, a z którego okazuje się, że rząd szwajcarski pojął przewybornie, iż prawodawstwo międzynarodowe, jeśli nie ma szkodzić interesom kapitału, winno oprzeć się na regulowaniu rynku. Natomiast, wobec tak wyraźnie podniesionego interesu kapitalistów w dekretach Wilhelma II, dziwny się, że wspomniane pismo nie dojrzało koniecznego związku między tym interesem a regulowaniem rynków, tembardziej że dzienniki niemieckie odrazu to zrozumiały i natychmiast podniosły odnośne następstwa projektu cesarskiego.

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

EPILOG „SPRAWY WADOWICKIEJ.”

I.

W swoim czasie zdejmowaliśmy już raz zasłonę z złośliwego wrzoda, który w po-

*) Być może, podziękowanie za uprzejmość jest z naszej strony nie na miejscu wobec tego, że sprostowanie udzielone zostało — w odpowiedziach od redakcyi, a zatem wywołane napewno warunkami zewnętrznymi.

staci słynnej „sprawy wadowickiej“ od lat kilku pod tarczą opieki rządowej nabierał sobie w dolnych częściach organizmu społecznego Galicyi *). Wtedy nakreśliłszy ów ponury obraz na tle stosunków galicyjskich ze zwierciadła prokuratorowskiego — aktu oskarżenia. Teraz, po przerwie niemal półrocznej, z powodu dokonanej operacyi w trybunale wadowickim oraz blizkiego już wyroku, podnieśmy jeszcze raz zasłonę. Nim ciężki aparat sądowy wymierzy karę na twórców wielkiej kołozastej, najeżonej tyśiącem nożyc rogatk w wyszysku, ustawionej na drodze naszej fali wychodzącej, skorzystamy z faktów wymłóconych dochodzeniem sądowym.

Znamienną cechą procesu wadowickiego jest przewlekłość jego przebiegu, tkwiąca nie tyle w trudnościach technicznych sprawy, według zapewnień korespondentów, ile w dwóch innych czynnikach moralnej treści: w postawie prokuratora (p. Ogniewskiego) względem oskarżonych oraz w nacisku opinii publicznej. Prokurator pchany przez tę ostatnią — i, dodajmy od siebie, podniecony może hańbą sprzedajności władz państwowych, których sam stanowi najpotężniejszy filar — wziął się w drogę postępowania dowodowego utrzymać wszystkie, najdrobniejsze, zarysy zbrodni, naszkicowanej według danych osiągniętych ze śledztwa. Komu znana jest organizacya współczesnych sądów europejskich, ten wie, że hamulcem zbyt pochopnej do potępień t. z. „sprawiedliwości społecznej“, uosobionej w prokuratorze jest „ława obrończa.“ Jest ona mocno napiętą sprężyną pośredniczącą między aktem oskarżenia a wyrokiem sędziów i służy do łagodzenia ciosów wymierzanych przez rękę karzącą, czyli inaczej, zdaniem filozofów prawa, jest wcieleniem sumienia zbiorowego, które, dodajmy od siebie, przetłomaczono na język mniej mglisty, znaczyłoby, iż instytucya obrony zawiera w sobie milczące przyznanie „zbrodniotwórczości“ ustroju współczesnego... Otóż nie tyle może w imię tych wzniosłych pobudek, ile w przeczuciu obrażanej przez prokuratora przysługującej im tytułem odnośnych paragrafów kodeksu procedury karnej — kompetencyi, obrońcy w ciągu rozpraw sądowych w ciągłym zostawali zatargu nie tylko z p. Ogniewskim, lecz i z przewodniczącym sądu (p. Lipką). Najzdolniejsi z nich, „cieszący się rozgłosem znajomości prawa, niepospolitej wymowy i bystrości“ (słowa korespondenta), prof. Rosenblatt, dr. Goldhammer i dr. Łazarski, przeżeni teroryzmem opinii publicznej, „wyteżają wszystkie siły, aby odjąć sprawie ten fatalny rozgłos, jaki jej przypadł w udziale...“ Nielitościwe mniemanie ogólne stanowić będzie wielki szkopuł dla obrony. A jednak ciekawi jesteśmy mów adwokatów, które mają wpłynąć na brzmienie wyroku: prof. dr. Rosenblatt broni Löwenberga i konduktorów kolejowych, dr. Korn — Herza, dr. Łazarski — Klausnera, dr. Iwański — Landau'a, dr. Daniel — Iwanickiego, dr. Goldhammer — Landerera, dr. Cieszyński — Zwilinga (właściciela agencji bremeńskiej). W skład zaś sędziów przysięgłych wchodzi ludzie następujących stanowisk społecznych: 5 właścicieli realności, 3 gospodarzy gruntowych (chłopów), 1 rzemieślnik, 2 urzędników, 1 restaurator i 2 kupców. Czytelnicy *Prawdy* pamiętają rolę owych siedmiu oskarżonych w interesie emigracyjnym. Otóż ciekawą będzie komedia przemów obrończych. Ile to np. retoryki musi zużyć p. Rosenblatt w obronie „artystycznego kierownika“ (Löwenberga) sławnej instytucyi wyszysku Herzowsko-Klausnerowskiej? Naturalnie robi to w imię uczuć ogólnoludzkich, w imię determinizmu moralnego, w imię ułomności natury ludzkiej. A dwa serca kupieckie, jedno restauratora, dwa austriacko-urzędnicze, pięć

właścicieli nieruchomości, przyrosłe do tych samych warsztatów, które w interesie emigracyjnym działały, może bezwiednie odebrną na te wezwania wymowne. Tak ślizkie są ścieżki życia współczesnego! Tyle pokus w stosunkach galicyjskich!..

Ironia moja nie jest jednoznaczna z podżeganiem sądu do surowszego wymiaru sprawiedliwości, byłoby to cofnięciem się na jej niższe pierwotne szczeble z okresu odwetów mściwych. Najmocniej jestem przekonany o tem, że najuporczywsze przesładowania sądowe jeszcze nie wypełniły i nigdy nie zdołają wypełnić zła, warunkowanego zasadniczym ukształtowaniem stosunków społecznych, jak znowu najtroskliwsze wypalania i oskrobywania owrzodzeń powierzchownych nie ulecą od nich ciała, póki je toczy robak choroby wewnętrznej. Środkowi temu przypisać można znacznie skromniejsze rozmiary skuteczności: zmuszenia ludzi do prowadzenia dzieła wyszysku np. w przyzwoity sposób. W społeczeństwach, które dosięgły poziomu dojrzałości, znajdują się środki kielzające wyszysk w świadomym zespoleniu grup krzywdzonych; udział surowości sądowej pod tym względem u nas — musi mieć niezwykłą doniosłość. Natomiast wyteżanie wszystkich sił przez obrońców w procesie wadowickim, dla odjęcia mu „fatalnego rozgłosu“, pożądanem byłoby w jednym kierunku. W imponującej liczbie 65 oskarżonych aktem prokuratora znajdują się przestępcy rozmaitych stopniowań: od skończonych łotrów (Klausner z pięciu współnikami oraz Zwilling), pół-łotrów (agenci i naganiacze), do nieświadomych zbrodniarzy, ślepych narzędzi łupiestwa ludu (konduktorzy kolei państwowej itp.). Zapewne do tej kategorii stosują się wyrazy sprawozdawcy z sali posiedzeń sądowych: „Znaczna liczba oskarżonych ma wyraz twarzy obojętnej i bezmisyjnej; wielu z nich nie posiada wyobrażenia o tem, czego od nich żądać tu będą i za co odpowiadać mają.“ Znaczna część słabiej oskarżonych pozostawiona jest na wolnej stopie. Tu należą konduktorzy. Los ich był opłakany w ciągu rozpraw sądowych. Chwilowo zwolnieni przez zarząd kolejowy od służby, cierpieli głód i sypiali w barłogach. To ich zmusiło udawać się do przewodniczącego trybunału o zaliczenie ich do rzędu więźniów sądowych. Jeśli więc gdzie, to właśnie względem tej kategorii oskarżonych najstosowniejszą jest poduszka obrończa pp. Rozenblattów, Łazarskich *et consortes* do odbijania najostrożniejszych ciosów przyszłego wyroku.

Swoją drogą, wbrew życzeniom p. Ogniewskiego, rozprawy sądowe, dotychczasowy proces dowodowy, skalę winy postawioną w akcie oskarżenia do pewnego stopnia zmniejszył. Zarzut zrobiony „artystycznemu kierownikowi“ wyszysku, Löwenbergowi, jakoby w zamiarze skuteczniejszego ograbiania wychodźców, dla rzucenia postrachu, przybierał charakter starosty, popierany bałamutnem i niewystarczającym zeznaniem jedynego świadka w tej mierze, straganiarki oświęcimskiej, Tekli Wagowej — upadł. Zapytywany o to przed sądem sam winowajca domniemany odpowiedział z oburzeniem: „To fałsz nikczemny, wymysłony przez moich nieprzyjaciół w Oświęcimiu! Przecież widzi wysoki trybunał, że ja tak źle mówię po polsku, żeby mnie nikt nie mógł wziąć za starostę, a i fizygnomia moja do tego się nie nadaje.“ Odpowiedzią był śmiech homeryczny z sali: Löwenberg jest mężczyzną lat 45, osiwiał, przygarbiony, o twarzy obrzękłej, przedstawiającej wybitnie typ wschodni. Całe świadectwo Wagowej nie dostarczyło pożądanego dowodu, jako oparte w trzech czwartych na tem, co „słyszała od kumoszek.“ Zarzut więc traci podstawy, przynajmniej go do podejrzenia, jakoby wdziawał na się mundur starościnski. Zeznania naganiacza wychodźców, rzeźnika z Oświęcimia, Barucha Banda, stwierdzają za to fakt samego przybie-

*) Patrz *Prawda* z 1. r. 1889, str. 400, 410, 425 i 435.

rania charakteru starosty. Oprócz tego zaś inny zarzut nie mniejszej doniosłości: gwałtów, policzkowań i pozbawiania wolności, ciążący na Löwenbergu, jako też wymuszania na wychodźcach zakupna ordynaryjnych „ubrań amerykańskich“ wartości 2 złr. za cenę 8 złr. zeznaniem tego świadka mocno został poparty. Gdy w odpowiedzi na zapytanie przewodniczącego Löwenberg nazwał świadka potomkiem kryminalistów, niezasługującym na wiarę, ten odrzekł: „Tak? Mnie nie można wierzyć, bom kryminalista? No, to ja panu pokażę, co to jest kryminalista! Świetny trybunał! Ja jeszcze ani setnej części tego nie powiedziałem, co mam powiedzieć. Ja dwa dni z rzędu będę mówił i jeszcze nie skończyłem!“ Co do bicia i policzkowania wychodźców przez Löwenberga w kancelaryi agencji, inni świadkowie (np. Jakób Kała), ku wielkiemu oburzeniu d-ra Łazarskiego, zgodni są z poprzednim. Kała miał to widzieć z podwórza hotelu „de Zator“ (pomieszczenie agencji) przez okno otwarte w kancelaryi. Dr. Łazarski wymógł od prokuratora komisji sądowej wydelegowanej na miejsce, dla sprawdzenia wiarogodności zeznań świadka, za co otrzymał nagane. Niektóre opowieści świadków nacechowane były humorem nieświadomym, którego niestety osią była oskubana skóra chłopska. Jeden z oskarżonych naganiaczy Manele Laufer, szynkarz, zapytany przez prezesa sądu: „co Löwenberg robił w kancelaryi, kiedyś pan tam przyszedł?“ — odrzekł: „Ny, co un miał robić? Un krzyczał grzecznie na wychodźców: widzisz ty, psiakrew, tu na tej tablicy stoi napisane, że bilet kosztuje 110 marek?“ Zarzut popierania zbiegostwa mających wkrótce odbyć powinność wojskową, odpierał Löwenberg faktem, że starosta z Białej, Födrich, przeglądał zawsze wykazy wychodźców, w których zawsze wiek był oznaczony, lecz nigdy nie czynił żadnych im o to uwag. Istotnie sąd sprawdził, że na każdej karcie była wiza starosty: „*vidi Födrich*.“ Ze szczegółów zeznania Löwenberga pada ponure światło na udział władzy rządowej w matactwach spółki Klausnerowsko-Herzowskiej. Wogóle ten dostojnik cesarsko-królewski w świetle zeznań głównych oskarżonych (tak Löwenberga, jak naczelnika agencji, Klausnera) rzymsowuje się coraz lepiej. Ujawniło się np., że pan starosta był najwierniejszym sprzymierzeńcem spółników agencji, miał nie tylko oczy zamurzone na wszelkie ich nadużycia, lecz nawet czynnie i gorliwie popierał działalność tej „niewinnej“ instytucji. Za to też od protegowanych swoich otrzymywał dowody uwielbienia (stała pensja 1,000 złr. rocznie), śniadanka i przewisko „cadyk.“ W biurze jego ci zacni panowie gospodarowali, jak u siebie.

Również i drugi dostojnik cesarsko-królewski, kontroler urzędu celnego, Iwanicki, coraz lepiej maluje się na tle tej zbiorowej zbrodni. Zarzuty wymierzone mu w akcie oskarżenia, poddane ogniowej próbie postępowania dowodowego, mało co z swej siły uroniły. Grupa świadków oświęcimskich, a zatem tych, którzy byli codziennymi widzami wszelkich gwałtów, dziejących się wychodźcom wewnątrz i zewnątrz hotelu zatorskiego, dostarczyła najważniejszych w tym względzie zeznań: kontroler Iwanicki z nadstrażnikiem Kostekim oraz siepacami Landerera sprawowali obowiązki naganiaczy agencji. Przesłuchanie kilkunastu urzędników komor celnych i kolei pruskich z Oświęcimia, Ziegenhals-Mittelwalde, Katowic i Mysłowic rolę Iwanickiego spełniającą na rzecz łupieztwa wycieniały ostatecznie. Godłem jego obław, urządzanych na emigrantów było: „Biada tym, którzy nie kupią kart u Herza!“

Jedną tylko kwestyą zarzutu oszustwa na sprzedaży kart okrętowych, która przyniosła spółce 32,105 marek dochodu nieprawego, została mało wyjaśniona. Oskarżeni (Herz i Klausner) winę wyprawiania wy-

chodźców okrętami „Unionu“ (karta 100 marek) za pobraniem pieniędzy na karty „Paketu“ (110 marek), składają na wysyłaczy portowych w Hamburgu. To skłoniło sąd do powołania na świadków dyrektorów oraz pełnomocników towarzystw przewoźnych w Hamburgu: Bodenheima, Falka, Henrichsena, Balina i Blausteina. Ludzie ci, z powodu rozpuszczonej pogłoski, jakoby rząd austriacki żywił zamiar uznania ich za współwinnych w matactwach agencji i uwięzienia — nie zjawili się, wystawiając tem trybunał wadlowi na kłopot, a p. Ogniewskiego na nowy zatarg z obrońcami. Pod naciskiem tych ostatnich, zgodzono się o tych świadków przesłuchać później. Natomiast zeznania w tym przedmiocie złożone przez niejakiego Thona zarzut oszustwa na cenach biletów okrętowych w wysokości 32,105 marek mocno osłabiły. Cała wina spoczywać ma na ekspedyentach hamburskich.

Herz, były „król oświęcimski“, badany o wyjaśnienie licznych pozycji w księgach odnośnie do żandarmów, np. „Föderbusch“, „Feder“, „Fdb.“, „Grüne Leute“ i „Rothe Leute“, nie umiał wyjaśnić: były to zapewne wysoki dobrego humoru buchaltera Gutmana. Szczęście — bo inaczej, ci ludzie, tak pochopni do łapówek i skóry chłopskiej, jak nie, wyskoczyliby ze swych wygodnych sioseł a zasiedli na ławie oskarżonych, czego im mocno możnaby życzyć... Zanim zapadnie wyrok, roztoczymy jeszcze kilka obrazów poświęconych samym ofiarom dzisiejszych oskarżonych.

Z. Atanazy.

O WYSTAWIE PARYSKIEJ ze stanowiska inżynierii i przemysłu.

IV.

Wobec tego, cośmy powiedzieli wyżej, czytelnicy nie mogą się spodziewać wynalazków nowych, postępów olbrzymich. Nie dała ich wystawa obecna, z bardzo małymi wyjątkami, więc nie może być ich w opisie. Procesy techniczne, które znalazły wyraz w wieży Eiffla i Pałacu maszyn, znamionują pewną dobę techniczną, która na poprzednich wystawach nie miała nic sobie równego. Te procesy jednak rozproszone są w masie ulepszeń i wynalazków metalurgicznych i mechanicznych, lecz czegoś dostępnego dla szerszych kół przemysłowych w tej formie, jaka się ukazała na wystawie, to jest w postaci olbrzymich budowli — nie stanowią. Olbrzymy te przedstawiają przeciwnie objaw sporadyczny; z rynkiem przemysłowym i handlowym całego świata chwilowy, miejscowy i jednorazowy tylko mają związek — i dziś już, po zamknięciu niedawnego wystawy można powiedzieć, że tak na rynek wszechświatowy oddziałają, jak piramidy egipskie na cholery *).

Pomimo to jednak, że pod względem wielkich postępów technicznych wystawa 1889 r. nie dorównywa poprzedniczkom — nie jest od nich mniej doniosła.

Wielką jej zasługą jest umożliwienie szerokim kołom specjalistów poznania granic techniki społecznej.

Nawet kończącym wyższe zakłady techniczne nie zawsze wiadomo, do jakich rozmiarów, największych lub najmniejszych, doszły te lub owe przyrządy. Posuwanie bowiem owych rozmiarów i siły, w tym lub owym kierunku, jest najczęściej rzeczą praktyki, lecz nie teorii. Nie dawno

zajmujący wybitne stanowisko urzędowe technik spytał nas, czy istnieją maszyny parowe stałe o sile 1,000 koni. Nieznajomość praktykowanych granic w mechanice prowadzi częstokroć techników do bezsensownych prób i usiłowań. Sądzę przeto, że nie tylko dla szerszego koła czytelników, lecz zarazem dla techników pożyteczne będą poniższe szczegóły o największych lub najmniejszych wytworach przemysłu, które oglądaliśmy na wystawie. Chcemy właśnie zestawić w jednym szeregu owe olbrzymy z różnych gałęzi techniki, bądź to w naturze, bądź w rysunkach lub modelach pokazane światu na wystawie. Pod ogólną nazwą „olbrzymów“ rozumiemy największe wymiary, największą siłę, największą ilość obrotów, największą wydajność, największy ruch, największą szybkość wykonania, najdłuższą służbę, i odwrotnie zaznaczymy najmniejsze przyrządy. Wyrzec się musimy podawania wytrzymałości materiałów, pomimo że w tej gałęzi, to jest w metalurgii, świeże postępy są znakomite.

Firma angielska Greenwood et Bathley z Leeds wystawiła warsztat tokarski zrobiony w ciągu 6 miesięcy na zamówienie dla fabryki Schneidera (Creuzot). Służy on do toczenia i wiercenia wielkich wyrobów stalowych, mających wagi 6,000 pudów lub więcej; waży on przeszło 20,000 pudów. Firma owa wykonała kilkanaście takich warsztatów dla największych fabryk angielskich i kontynentalnych, oraz dla trzech arsenałów: petersburskiego, kadykskiego i kianangskiego (Chiny). Fakt, że taki olbrzym zrobiony został w pół roku, daje pojęcie o środkach fabryki.

Obok tego warsztatu pod względem rozmiarów można postawić maszynę Cockerilla (Seraing, Belgia) i jeszcze parę zaledwie maszyn, które również zwracały powszechną uwagę z powodu wielkości.

Cockerill zrobił na zamówienie Południowo-rosyjskiego — dniewskiego-metalurgicznego Towarzystwa (pod Ekaterynosławiem) tę maszynę do wdmuchiwania powietrza w wielkie piece. Jest to już przeszło 150-ta maszyna tego gatunku, wykonana przez tę fabrykę. Ponieważ cylindry jej są stojące, więc zajmuje, na wysokość, przestrzeń trzech pięter domów naszych.

Ta sama firma okazała model windy hydraulicznej (inaczej dok hydraulicznej) ustawionej w Louviere, w Belgii, na kanale zwanym Canal du Centre i podnoszącej 70,000 pudów na wysokość 15½ metrów.

Podobną windę (*ascenseur*), w modelu, wystawiła firma „Anciens Etablissements Cail“ (Paryż-Douai-Denain). Pochodzi ona z Fontinette, ustawiona na kanale de Neufossé w Arques, departamentu Pas-de-Calais. Każda jej prasa hydrauliczna podnosi po 48,000 pudów na wysokość 13 metrów. Oba powyższe doki hydrauliczne zastępują na kanałach służą: ostatni, np., zastępuje 7 służ. Statki, zamiast przechodzić przez kilka przedziałów kanału, z których pierwszy ma poziom wody różny od ostatniego o 13 lub 15 metrów, podnoszone są w takim doku hydraulicznym od razu do żadanego poziomu. Urządzenia te świadczą, jakie znaczenie ma droga wodna, dla której nie szczędzono podobnych robót. Nasze drogi wodne i kanały nie mają nic równego.

Firma Joseph Farcot (Saint-Ouen, dep. Sekwany) dała poznać największą w świecie pompę rotacyjną. Na godzinę wyrzuca ona 33 milionów litrów wody do kanałów Dolnego Egiptu w Khatatbek, gdzie pięć takich pomp jest ustawionych w celu nawadniania pól. Oprócz wymiarów, dosięgających wysokości półtora piętra, posiada pompa owa wielką wydajność we względzie siły użytej do wprawiania jej w ruch. Ten rodzaj pomp, uważany za niepraktyczny, z powodu znacznej, pochłanianej przez się pracy motoru, dał się jednak zastosować na tak olbrzymią skalę. Udoskonalenia

*) A. Horodeński „lekarz I klasy“ w broszurze (p. t. *Jak rozumieć cholery* itd.), wydanej w 1853 r. w Warszawie i poświęconej Józefowi Mianowskiemu, zapytuje: „Któż to wiedzieć może, dlaczego stały się piramidy egipskie?“ I odpowiada: „Aby łamały siłę wiatrów,“ a te nie przynosiły cholery do Egiptu.

jej datują się od zastosowania do kanalizacji Paryża.

Pas rzemienny paryskiej firmy A. Domange (dawniej Scellos) przenieść jest w stanie siłę 800 koni parowych. Ten olbrzym ma 2 metry szerokości i 2 centymetry grubości.

Pas z lin drucianych, wdowy po Adolfie Stein z Milhuzy zastosowany do wind wieży Eiffa daje się rozierać, dopiero, przy użyciu siły 8,000 pudów. Winda zaś, ze 100 pasażerami, mogła ważyć najwyżej 800 pudów. Z ciekawością publiczność przyglądała się wielkiej linie z aloesu, napojonej smołą, teje firmy. Waży ta lina-tasma prawie 500 pudów, a ma długości 670 metrów.

Największe dzieło, wystawione przez ministerium marynarki, ważyło 4,100 pudów; waga pocisku wynosi 28 pudów, jego średnica—30 centymetrów; szybkość początkowa—700 metrów na sekundę, a doniosłość—20,000 metrów. To znaczy, że pocisk, ważący 28 pudów, wyrzucany jest na odległość 20 wiorst i na początku swego biegu robi prawie $\frac{3}{4}$ wiorsty na sekundę.

Największą szybkość pociągów osiągnął niejaki Estrade, którego system lokomotyw i wagonów posiada tak wielkie koła, że trzecia klasa mieści się pomiędzy kołami pod osią. Osiągnięta największa szybkość 107 kilometrów (prawie tyleż wiorst), na godzinę, nie wynagradza wszakże wad i nie równoważy zarzutów, jakie temu systemowi zrobić można z wielu względów. Odpowiadają celowi lokomotywy belgijskie, np. Cockerilla *), zbudowane dla ciężkich a zarazem najszybszych pociągów pasażerskich, kursujących między Ostendą a granicą niemiecką. Osiągają one 95 kilometrów na godzinę. Zaznaczyć musimy, że lokomotywy dla takiej szybkości i pociągów ciężkich (9,000 pudów) muszą ściśle odpowiadać swemu zadaniu, to jest na danym profilu w najtrudniejszych miejscach nie podnosić obciążenia pary i braku wody. Nasze koleje żelazne, przy zwykłych warunkach, rzadko posiadają lokomotywy czyniące zadość temu zadaniu i wszystko polega na wysiłkach maszynisty.

Jako przykład szybkości obrotów zaznaczam maszynę parową systemu Armington-Simsa, o 350 obrotach na minutę. Firma wyrabia je o sile od 10 do 100 koni parowych.

Zdumiewające są dane przedstawione przez „Atelier de Pensylvania Railroad“ w Altonie Ameryki północnej, dotyczące szybkości, z jaką w tych zakładach montowana jest lokomotywa. Z pojedynczych kawałków metalu powstała tam lokomotywa w ciągu 16 godzin i 50 minut. Fotografie w różnych stadiach roboty ilustrują powstawanie wozu, kotła i maszyny.

Przegląd olbrzymów mechaniki zamykamy wzmianką o największych motorach parowych, elektrycznych i wodnych.

Parowe maszyny (stałe) były przeważnie średnie, o sile 500 koni, i kilka z nich właśnie uważamy za najciekawsze (np. Schneidera) pod względem pomysłu i wykonania; lecz było kilka machin o sile 1,000 koni parowych — np. piękna maszyna firmy Farcoata. Zaznaczyć musimy, że dla okrętów wyrabiane są maszyny o sile przeszło 14,000 koni parowych.

Największa w świecie i na wystawie maszyna dynamo-elektryczna firmy Marcela Depreza — odpowiadała sile 500 koni parowych.

Wreszcie pomiędzy rysunkami szkoły centralnej można było widzieć turbinę o sile 1,500 koni zbudowaną przez inżyniera A. Bergésa, pod spadkiem wody 500 metrów.

A. Pawłowski.

*) Lokomotyw doskonałych było na wystawie wiele.

BADANIA NAUKOWE.

Z HISTORII

MAGNETYZMU I HYPNOTYZMU *).

Historia magnetyzmu zwierzęcego jest jednym z jaskrawych dowodów tej prawdy, że sądy nasze nie są najczęściej wynikiem krytycznego i bezstronnego zestawienia świadectw i faktów szczegółowych na korzyść pewnego twierdzenia lub przeciwnych mu, lecz że wypływają one raczej z całości kształtu naszego pojmowania świata. Jesteśmy równie skłonni przyjąć jakieś mniemanie najłabszymi poparte dowodami, jeśli ono odpowiada naszym zapatrywaniom, jak nie mniej zaprzeczyc najskrupulatniej udowodnionemu, jeśli ono zostaje z niemi w sprzeczności. Cechą wspólną wszystkich poglądów na świat jest ich racjonalizm; to znaczy, że wszystkie one płyną z wiary w zupełną prawomocność rozumu do rozstrzygania zagadnień wiedzy bez oglądania się na jakiegokolwiek powagi. Mimo to w ukształtowaniu swym bywają one bardzo różne, a w każdej epoce można zaznaczyć pewien prąd myśli, panujący nad innymi, stanowiący jakby atmosferę duchową epoki.

Takim przeważającym prądem w końcu XVIII w. był materializm.

W całej filozofii tego stulecia, wbrew twierdzeniu Buckle'a, widzimy tylko dedukcję z pewnych założeń ogólnych, z góry powyższych; przytaczane fakty służą tylko za przykłady, uwydatniające myśl, która sama zawsze płynie z pewnych zasad.

Jakkolwiek Messmer, zgodnie z duchem czasu, starał się wytłomaczyć oddziaływanie magnetyczne pośrednictwem pewnego płynu subtelного, tj. w sposób zupełnie materialny, to jednak cała jego teoria o wpływie ciał niebieskich na istoty zaludniające ziemię, o peryodyczności faz historii i objawów chorobliwych w zależności od okresów astronomicznych zanadto przypominała tak niedawno jeszcze wysmianą astrologię i wierzenia ludowe. Zresztą mało kto wiedział o jego teorii; najwięcej uderzało wszystkich jego uzdrawianie zapomocą dotknięcia lub z odległości, a nawet oddziaływanie przedmiotów, którym udzielał potęgę tajemniczą. Łatwo zrozumieć, że opowiadania o podobnych faktach, przypominających cuda, spotykały niechęć ze strony najbardziej oświeconych ludzi tej epoki, w której dziwy biblijne starano się wyjaśnić oddziaływaniem znanych czynników fizycznych, w której wszystko, co przypominało siły tajemnicze, odrzucano jako szarlatanizm.

Istotnie, podstawę doktryn materialistycznych stanowi zasada, że wszelka siła nierozdzielnie związana jest z materią, że może być przeniesiona tylko przez pośrednictwo materii. Czynności duchowe uważane są jako pewien objaw sił fizycznych, właściwych bądź atomom (hylozoizm), bądź pewnemu skomplikowanemu ich układowi, bądź materii ciągłej, ale zawsze są podporządkowane materii. Działanie więc, w którym niepodobna było uwydatnić jakiegokolwiek przeniesienia cząstek materialnych, owszem, w którym wynurzał się wprost wpływ woli na fizyczny stan organizmu i przy tem woli tylko pewnej jednostki (tj. magnetyzera), było w wysokim stopniu sprzeczne z materialistycznym pojmowaniem świata i musiało zrażać umysły, tem bardziej, że objawiało się w warunkach bardzo przypominających świeżej pamięci naówczas czarodziejstwo i niekoniecznie świadczących o bezinteresowności eksperymentatora.

*) Ochorowicz, *Odczyty o hypnetyzmie i magnetyzmie*. Petersburg, 1890.

Nie zadziwi więc nas, że Akademia i fakultet lekarski w Paryżu uporeczywie traktowały Messmera jako szarlatana i wzbraśniały się wszelkiego sprawdzenia jego doświadczeń. Nie zdziwi nas, że komisya, wyznaczona przez rząd, do której należeli tacy uczeni, jak Lavoisier, Franklin, Bailly, chętniej przyjmowała najbardziej naciągane tłumaczenia faktów, niżby się miała zgodzić na przyznanie magnetyzmu i że tylko ludzie wyjątkowo bezstronni i metodyczni, do których należeli Jussieu i Laplace, okazywali wielką ostrożność. Jako wzór zupełnie naukowego traktowania przedmiotu możemy przytoczyć następujące zdanie Laplace'a: „Jesteśmy jeszcze tak dalecy od znajomości wszystkich czynników natury i różnych sposobów ich działania, że byłoby niefilozoficznem przeczyć istnieniu zjawisk dlatego tylko, iż nie dają się wytłomaczyć w obecnym stanie naszej wiedzy.“

Inaczej zachowały się szersze koła publiczności; ogół w XVIII w. nie był mniej łatwowiernym wobec magnetyzmu, niż w wiekach średnich wobec czarodziejstwa. Pociąg do cudowności i tajemniczości, tak słusznie wytykany ludziom przez filozofów XVIII w. ścigał tłumy do „korytka“ Messmera; ale nie tylko pacyenci, cisnęli się do niego i uczniowie, w liczbie których było nie mało lekarzów. Z tych D'Esilon i Dongoles zasługują na wzmiankę z powodu odwagi, z jaką powstali przeciw potępijącemu wyrokowi fakultetu. Uczniowie (po skończeniu kursu każdy z nich zobowiązywał się do tajemnicy i nie mógł bez upoważnienia Messmera udzielać swych wiadomości innym) utworzyli „Towarzystwo harmoniczne.“ Wielu stosowało magnetyzm praktycznie w Paryżu i na prowincyi.

Tymczasem z przemianą w życiu politycznem, która zaszła po wielkiej Rewolucyi, nastąpiła reakcja w pojmowaniu świata przeciw wyłączności rozumu na korzyść innych władz umysłowych. Następnem jej był bujny rozkwit filozofii idealistycznej. Zmiana poglądów odbiła się we wszystkich dziedzinach umysłowości, wywołując spotęgowanie religijności, romantyzm w sztuce, doktryny moralności intuicyjnej na miejsce utylitarystycznego przeważającego w drugiej połowie XVIII w. itd.

Nastąpił czas pomyślniejszy dla magnetyzmu *). Idealizm, który taki nacisk kładzie na potęgę ducha, że materyę uważa za jego wytwór, nie mógł się zrażać objawami tej nadzwyczajnej siły duchowej, tego wpływu władz psychicznych na organizm fizyczny.

Jakoż gdy w r. 1825 dr. Foissac udał się z listem do Akademii, prosząc o sprawdzenie jego doświadczeń nad magnetyzmem, przyjęto go inaczej, niż Messmera. Akademia wyznacza z początku komisję dla rozważenia, czy wypada zająć się magnetyzmem, a po przychylnym wyroku jej, mianuje dla zbadania samego magnetyzmu inną, która po pięcioletnich studiach daje odezwę jednomyślnie przychylną.

Doktryna zyskuje wielu zwolenników wśród lekarzy i w szerokich kołach społecznych; trwa to mniej więcej do nowego przełomu w poglądach. Przełom ten odbywa się stopniowo pomiędzy 1840 a 1848 rokiem, jako reakcja przeciw idealizmowi filozoficznemu i rozbudzenie sceptycyzmu, po roku zaś 1848 jako odnowienie materializmu XVIII wieku w jego najniekrytyczniejszych formach (Büchner, Vogt). Widzimy też i zmianę w zachowaniu się wobec hypnetyzmu i magnetyzmu: komisya Akademii, wyznaczona na wniosek dr. Berna,

*) Paységur, który wykrył stan sonambulizmu sztucznego i którego dzieło (*Recherches etc. sur l'homme dans l'état de somnambulisme naturel etc.*, 1813) najwięcej przyczyniło się do ożywienia ruchu magnetycznego w tym czasie, był równocześnie jednym z najwybitniejszych przedstawicieli reakcji filozoficznej przeciw materializmowi XVIII w.

zaprzecza wszystkiemu; Akademia w 1840 postanawia nie zajmować się zagadnieniami magnetycznymi *).

W tej epoce zajęcie się magnetyzmem ustaje; nieliczni tylko lekarze i fizyologowie robią próby; ale i tu występuje on już w postaci hypnotyzmu, którą mu nadał Braid w dziele p. t. *Neurohypnology* (1882). Pojmowanie magnetyzmu jest tu zgoła materialistyczne a raczej sensualistyczne. Nie chcąc przyznać wpływu myśli i woli udzielającego się bez pośrednictwa zmysłów (tj. widzialnych gestów lub wyrazów), szuka on w samym pacyencie źródła stanu somnambulicznego i odkrywa je w znużeniu, wywołanem przez skupienie uwagi na jeden przedmiot, np. przez patrzywanie uporczywe na guzik hłyszczący itd.

W takiej skromnej postaci zapisywano te fakty w podręcznikach fizjologii, dopóki nowy zwrot w umysłowości Europy nie spowodował ponownego zajęcia się magnetyzmem i odkrycia tego, co już po kilkakroć było odkrywane i zapomniane. Zwrot ten następuje w ostatnich latach szóstego dziesiątka bieżącego stulecia, kiedy poważna literatura filozoficzna powraca do Kanta, ażeby wychodząc z jego stanowiska, utrwalić filozofię na podstawach krytyki i teorii poznania; wiara w bezgraniczną potęgę poznania zaczyna upadać i wśród przedstawicieli wiedzy ściślej występują jednostki traktujące o *granicach poznania*, jak Du Bois Raymond w swoim głośnym odczycie z r. 1872. Hypnotyzm w pracach Czermaka (1873), Prayera (1878), Richeta (1875), Charcota (1878) występuje pod tą postacią, pod jaką jest dziś powszechnie znany. W ciągu ostatnich lat dziesięciu wyszło kilkadziesiąt książek i broszur, traktujących ten przedmiot naukowo, a widzimy stąd, że zajęcie się nim publiczności jest bardzo znaczne.

Ta historia magnetyzmu i hypnotyzmu opowiedziana przez p. Ochorowicza jest pouczającą z tego względu, iż wykazuje, w jaki sposób przyjęcie lub nieprzyjęcie faktów spostrzegania zależy od całokształtu pojmowania świata; w wahaniach, jakie odbywa doktryna magnetyzmu, widzimy wpływ bezpośredni wahań myśli filozoficznej odpowiednich epok. P. Ochorowicz nie chce ich dostrzedz, jakkolwiek przyznaje, że o faktach zapomniano i znowu je odkrywano, że zatem w rozwoju nauki o magnetyzmie nie było ciągłości. W dziejach tej doktryny widzi on tylko dwie rzeczy, z których jedna „smutna, a druga pocieszająca.“ Smutnem jest to, że gdy nowa idea, przeciwna panującej rutynie, zjawia się między ludźmi — zamiast zbadać ją chłodno... ludzie obrzucają ją błotem. „Pocieszajcem zaś to, że „prawda nie ginie.“ Opór przeciw magnetyzmowi kładzie p. O. na karb samolubstwa i obskurantyzmu lekarzy. Nie przeczymy, że te dwa czynniki miały swoje znaczenie, ale nie tłumaczy to wcale, dlaczego Akademia z r. 1825 była mniej interesowną i mniej rutyniczną, niż Akademia z r. 1778 i 1840. Zresztą cały wykład jest poniekąd oskarżeniem medycyny i lekarzy, zanadto nacechowanem osobistą ku nim niechęcią.

Trzeci odczyt, obejmujący klasyfikację różnych stanów hypnozy i somnambulizmu, nie należy tu do nas. Zauważymy tylko, że dziwną nam się wydaje cechująca go wiara optymistyczna w samouzdrawienie organizmu, co niegdyś lekarze nazywali *vis medicatrix naturae*. Wszelki krok czynny lekarza ku usunięciu objawów chorobliwych za pomocą środków terapeutycznych zwyczajnych uważa autor za szkodliwy, bo zakłócający normalny przebieg choroby, która niby zawsze dąży do zbawczej dla organizmu reakcji; natomiast oddziaływanie za pomocą magnetyzmu ma być zawsze dobrem, gdyż tylko „pomaga“ naturze i daje

to, czego organizm potrzebuje. Wogóle wynurzenia terapeutyczne autora zdradzają zupełną nieznajomość patologii naukowej, przypominając dawno zapomniane teorie i fantazyje lekarskie.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

20 lutego.

(Zapusty sztuki).

I sztuka ma karnawał w Wiedniu. Corocznie przerywają tu najpoważniejsi artyści swe zwykłe czynności i tworzą komitet, zajmujący się przygotowaniem do wielkiego balu kostiumowego. Nie są to zwykłe zajęcia komitetowe, lecz prace artystyczne wielkich rozmiarów. Ponieważ zaś zeszłego roku zachowywano żałobę po arcyksięciu Rudolfe, przeto tem większe zainteresowanie rozbudził bal tegoroczny, który stanowił istotnie olbrzymią wystawę sztuki humorystycznej. Podczas gdy przed dwoma laty wyobrażenia artystów sięgnęła w przeszłość i przedstawiła plastycznie postępy techniki w XX stuleciu, tym razem zwrócono się ku przeszłości. Świeżo jeszcze tkwiło wszystkim w pamięci otwarcie muzeum historycznego i przyrodniczego; postanowiono więc w dekoracji sal i w kostiumach przeprowadzić myśl rozwoju miasta Wiednia od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, a balowi nadano tytuł: „Wiedeń od okresu kamiennego do okresu papierowego.“ Krótki opis okaże, jaki kapitał pracy wkładają artyści wiedeńscy w tę zabawę; to zaś, że cały Wiedeń zajmuje się nią bardziej może, aniżeli wystawami sztuki poważnej, wypływa z charakteru jego mieszkańców; zresztą zjawisko podobne powtórzyłoby się wszędzie, gdzieby urządzano takie zabawy. Za miejsce dla nich służy Künstlerhaus, budynek jednopiętrowy o licznych salach i pokojach mniejszych. Zaraz w pierwszej sali umieszczono się duży obraz: jaskinia starogermańska. W głębi trzy olbrzymie, dzikie postacie siedzą około ognia ściętego i grają w karty. Już sam wesoły anachronizm czyni tych starożytnych teutonów mniej strasznymi, ale tracą oni grozę do reszty, kiedy dostrzeczemy, że olbrzymy te złożone są z wypchanych pończoch. Krokodyl otwiera paszczę ponad ich jaskinią; dalej nieco ogromny słon, którego tylna część jest namalowana, przednia zaś występuje ze ściany, ruszając trąbą, w której mieści się mechanizm automatyczny. Las dziewiczy wiedzie nas do sal dalszych, w których wyobrażono wnętrza domu prefekta rzymskiego za czasów, kiedy Vindobona kwitnęła. Do wspaniałego atrium przypierało z jednej strony *triclinium*, z drugiej *lasarium*, a na przedzie mieściło się otwarte *tablinum*, przed którym rozposcierała się dekoracja, przedstawiająca widok Wiednia za czasów rzymskich. Dalej pokoje mniejsze, urządzone w stylu rzymskim, jako ilustracja wieków średnich. Z pokoiów tych wchodziło do wielkiej sali, czyniącej wrażenie placu miejskiego: cztery jej ściany obwieszone były dekoracjami, które wyobrażały dawne domy, otaczające plac św. Szczepana. Tam przedstawiony był w stadyum, kiedy wieża, do połowy wzniesiona, otoczona jeszcze była rusztowaniem; przed tą malowaną katedrą straganiarki w budach drewnianych, ustawionych wśród sali, sprzedają towary. Cykl ilustracji architektonicznych kończył się w największej sali Künstlerhausu, której cztery ściany przedstawiały widok na Wiedeń dzisiejszy z Belwederu. Prawdziwem arcydziełem malarstwa dekoracyjnego był

sam gmach Belwederu, a widok Wiednia w kotlinie, pokrytego lekką, niebieskawą mgłą, porywał pięknnością swą nawet na płótnie.

W dwu innych salach mieściła się wystawa obrazów humorystycznych. Były tam olejne, pastele i akwarele większych i mniejszych rozmiarów, wykonane pobieżnie, lecz wszystkie niemal z wdziękiem ujmującym. Artyści karykaturują tu własne maniery, wykonywają w nich pomysły humorystyczne lub zabawki artystyczne, obliczone na złudzenie. Księgarz Baumtiller i malarz Hofmann ułożyli humorystyczny katalog tych obrazów, które licytowano na balu. Oto parę próbek. Słynny malarz Altema Dastema *) przedstawił „Śmierć Cezara.“ Na dnie głębokiego korca widzimy wielki plac wolny. w jednym kącie widnieje brzeg nóg umierającego Cezara, w drugim podobny uciekających spiskowców. Pani Wiesinger namalowała łąkę, po której kroczą obok siebie dwa długie szeregi białych istot. Skoro bliżej przypatrzymy się szeregom, w jednym poznajemy gości, w drugim pesyonarki. Mistrz „Böcklein“ naszkicował „rodzinę tęcz w żałobie,“ przedrzeźniając manierę słynnego szwajcara Böcklina. Mnóstwo też w galerii tej obrazów uzupełnionych dodatkami plastycznymi, które niesłychanie potęgują złudzenie. Koń namalowany, a jedzący z worka prawdziwego, wygląda jak żywy. Dwa wielkie portrety wyobrażają „okres papierowy“ i „okres kamienny.“ Na pierwszym widzimy giełdżarza, trzymającego w palcach prawdziwy, drukowany numer gazety giełdowej; na drugim — żonę jego, ozdobioną olbrzymimi brylantami fałszywymi, nasadzonymi plastycznie na szyi jej i ramionach. Najwdzięczniejszym okazem w tej kategorii, a zarazem najpiękniejszym obrazem na wystawie jest pastel, wyobrażający pokojówkę, która czyści szybę okienną. Na pierwszy rzut oka przysiadłby można, że to życie, nie sztuka. Bardziej jeszcze trzeba było podziwiać techniczną zręczność artystów w salach „muzeum historycznego,“ wypełnionych mnóstwem przedmiotów zestawionych z kłaków, gałganek, drewna i starej blachy. Udział polaków w odsieczy Wiednia dał tu artystom temat do kilku igraszek. I tak na przykład ustawiono przepyszną kostium króla Sobieskiego, będący prawdziwem arcydziełem krawiectwa teatralnego. „Ze spuścizny pierwszego kawiarza wiedeńskiego,“ Kulczyckiego, wystawiono turecką armatę ręczną, której główną częścią składową był młynek do kawy. Wyborne były rymunki rycerzy wojen krzyżowych, ułożone z blaszanych nakrywek, hełmy zrobione z lejników i mioteł, chorągiew Mahometa, łuk Wilhelma Tella, karabin Joanny d'Arc z zamkiem od drzwi, perspektywa hr. Starkemberga z r. 1683, złożona z blaszanych szklanych od piwa, zagadkowa broń, którą Tyberiusz polował — itd.

Cały ten labirynt sal wypełniły tłumy gości kostiumowanych z wiernością historyczną. Widziano grupy hunów, które z dzikim hałasem biegały lub szturmowały do pierwszego piętra; liczne towarzystwo rzymian i przesłanych rzymianek uradzało sobie ucztę w domu prefekta. Na dawnym placu św. Szczepana grała orkiestra jarmarczna, a cała karawana turecka wyprawiała harce lub popisowała się „narodowymi“ tańcami tureckimi. Widząc nieprzejrzane te tłumy rośliwych mężczyzn i uroczych kobiet w malowniczych, przepysznych kostiumach, można było poznać piękność rodu ludzkiego, a zarazem przekonać się, jak dalece czas nasz i moda oszpeca wrodzoną tę piękność, a o ile dawniej umiano potęgować urok postaci i twarzy ludzkich.

Stwosz.

*) Jest to przekręcenie imienia Almy Tademey, które brzmi w przekładzie „zawsze ten sam temat.“

*) Fakt ten jest pominięty w rozprawce p. Ochorowicza.

T E A T R.

Moje maluczkie jak znudzone
jest tym wielkim światem.

Porczy w *Kupcu Wen.*

Gdybym na pytanie: co to jest sztuka dramatyczna w obrębie naszego repertuaru, chciał dać odpowiedź obrazową, wybrałbym dla porównania budynek cieplarniany, w nim kilka egzotycznych roślin o pachnących kwiatach i mnóstwo chwastów pospolitych a niepokaznych, którym dziwactwo ogrodnika przeznaczyło nie tylko miejsce obok pierwszych, lecz w dodatku ozdobne wazonny. W cieplarni tej, jak każdej innej, panuje wieczny zaduch, a choć czasem jeden z pięknych kwiatów udzieli mu nieco woni, słodycz jej nie zastąpi jednak dla piersi fali świeżego powietrza i nie zaspokoi tęsknoty do zdrowych zapachów, spływających z oddechem lasu, łąki lub ziemi wiosennej. W takiej dusznej siedzibie wahadło repertuaru odbywa ruch swój powolny, nieposuwający sceny naprzód i niecofający jej w tył. Najwyższym wzlotem sięga ono z jednej strony do garstki egzotycznych roślin, będących zabytkami z lepszych dla literatury dramatycznej czasów, a które obejmujemy nazwą książkowego dramatu i tragedii, stąd, opadając, wkracza między liche ziela społecznej komedii, odzwierciedlającej mieszczaństwo i dla niego przeznaczonej, a z przeciwnej strony dochodzi do najgorszych chwastów farsy.

Gdym przed kilkoma miesiącami na cały ten długi przeciąg czasu z piórem się rozstawał, wahadło sceniczne dobiegało do gromadki roślin egzotycznych. Zapowiadano *Fedre*. W zaduchu cieplarnianym rozszedł się mdły zapach pseudo-klasycyzmu, przypominający nosowi pospolitemu — perfumy, a pamięci — *noblesse* dworu Ludwika XIV, zaśluchana w muzykę wierszy Racine'a, spływających, jak wody po gładkim łożysku — obficie, miarowo, spokojnie i, jak strumień niehałaśliwy, szemrząc zcicha o namiętnościach dzieci bogów, które od Mentora francuskiego otrzymały ogląd arystokratów jego kraju. Dla myśli, uwiedleń pod gęstym cieniem scholastyki, otwarcie okna na świat starożytnych stało się ożywcem, naszą — niewiele wzrusza zmniejszona i przyodziana kopia antycznego posągu, nieodpowiadająca pojęciom o wielkości, grozie i wspaniałości oryginału, jakie rozwinęły się w nas od czasów Racine'a. Ma jednak utwór jego blaski swoje iskrzące, harmonię i ogromną prostotę w budowie gmachu scenicznego, a logikę w przebiegu akcji i jeszcze — powab archaiczny wiersza.

Po *Fedrze* wznowiono *Hamleta*, obiecano zaś *Ryszarda* (został on, jak zwykle, w dziedzinie pogróżek) i — wahadło teatralne pospiesznie zaczęło opadać, a po paru miesiącach dosięgło przeciwnego punktu, gdzie wbrew prawom mechaniki, lecz zgodnie z logiką, rządzącą teatrem — zatrzymało się... I oto na jednym końcu przebytej drogi widzimy *Fedre* i *Hamleta*, na drugim zaś... lecz któż je policzy te *Hypnotyzmy*, *Château Iquem'y*, *Wyprawy Richelieu'go*, *Influenze* i płody spółek autorskich!

Ruch ten wahadłowy ze wszystkimi jego osobliwościami nie jest dla nas nowym i zdumiewającym; w obecnej jednak chwili zadziwia o tyle, iż w okresie czasu od *Fedry* do *Hypnotyzmu* zaszedł wypadek, który powinien był silnie wstrząsnąć organizmem teatralnym i porozkręcać zardzewiałe sprężyny, kierujące wahadłem repertuarowym. Blaski i uroki, jakimi wielki talent Żółkowskiego ozlacał poczerńnię i walące się mury sceny, znikły z zachodem jego życia; nie bez zasady więc mogliśmy się spodziewać, iż teatr nie namową już, lecz koniecznością zniewałany poszuka dla siebie nowych podstaw i oprze je na sympatyj szerokiego kręgu myślicy części społeczeństwa.

Źródła pseudo-klasycznego i Shakespearowskiego repertuaru, ku którym w chwilach skruchy zwracała się nasza scena, jakkolwiek po komedii mieszczańskiej są orzeźwiający, nie mogą same jedne sympatyj tej zaskarbić, bo nie zaspakajają świeższych a bardziej już uprawnionych pragnień, bo należą do przeszłości i nie mogą popłynąć z prądem, unoszącym dziś myśli, przenikającym do literatury, a na scenie domagającym się postawienia obok dramatów książkowych — realistycznego.

W tym kierunku, w okresie czasu, o jakim mowa, nie uczyniono nic. Natomiast słyszeliśmy wiele o przesileniu ciężkiem do przebycia i potrzebie popierania sceny. Istotnie, względy wyjątkowe czynią ten zakątek naszego życia bardzo dla nas drogim nie tylko odnośnie do sztuki, dla której jest siedzibą, ale odwoływanie się ustawiczne do tych względów wyjątkowych nie przystoi scenie, której nikt nie stawia wygórowanych i trudnych do ziszczenia żądań. Wiemy, iż jest biedną i sama zapracowywa na siebie, kwitujemy ją z przepychu takiego, jaki roztoczyć mogą, dajmy na to, meiningenicy i cały ogrom swych pretensyj zamykamy w skromnem żądaniu, żeby przyswoiła sobie dzieła, które nie są bynajmniej przybłędami w sztuce, a w literaturze nie najgorszą jej częścią, które po większej części obiegły teatry europejskie, są znane i uznane. Boć śmiech powiedzieć, że dramaty Ibsena np. nie mają wstępu na scenę, która jest aż nazbyt łaskawą dla wybryków krotocwilnej muzy i naosiecz wrota otwiera dla dramatu Sary Bernhardt (sic!). Gdybyśmy mogli uwierzyć, że przyszłość literatury dramatycznej mieści się w głowach historycznych aktorek, rzeklibyśmy się bez namysłu pretensyj do sceny i o istnieniu jej chętnie zapomnieli.

Na dziś, od szczegółowego przeglądu ostatnich nowości czytelnicy zwołnie mnie zechcą. W liczbie tych nabytków niema ani jednego, któryby w znaczeniu komedii przyjąć było można, a dla fars zawsze nam brak miejsca.

Nowego pracownika pozyskał teatr nasz w osobie p. Frenkla. Artysta ten w archiwum naszej krytyki posiada już swoją półeczkę, a na niej kilka imponujących tomów, nad ułożeniem których pracowała rzesza sprawozdawcza w czasach jego występów gościnnych. Naszem zdaniem teraz dopiero, gdy p. Frenkiel nie w ciągu jednego wieczoru dla nas i z nami pracować zamierza, warto jest i poznać go lepiej i nad rodzajem jego talentu się zastanowić. Uczynimy to przy sposobności.

F. B.

POEZJA.

PERCY BYSHE SHELLEY.

I.

JUTRO.

Gdzieś dniu jutrzejszy ukochany?
Gdy silni, słabi, młodzi, starzy
W radości, smutku na twej twarzy
Chcą ujrzeć uśmiech pożądany,
Na twojem miejscu, jak swój cień,
Znajdują znów — dzisiejszy dzień.

II.

ELEGIA.

Gdy lampa strzaskana,
W jej szczątkach nie skrzyszysz płomyka;
Gdy chmura rozwiana,
Blask tęczy wszechwładnej z nią znika;
Gdy lutnia pęknięta,
O dźwięki jej nikt się nie pyta
I nikt nie pamięta,
Jak głos brzmiał, gdy pierś już rozbita.

Strzaskane narzędzie
Blask tłumi i dźwięk wszelki głuzy;
Z serca nie dobędzie
Ten śpiewu, kto nicś ma w duszy:
Głos jego piosenki,
Jak wiatr śród rumowisk przeraża,
Jak morskich fal jęki,
Szumiących na pogrzeb żeglarza.

Gdy się dwoje ludzi
Pokocha, wnet miłość ustanie;
Słabsze z nich się ludzi,
Że można przedłużyć jej trwanie.
O! powiedz dlaczego
Miłości, uczucie ty dumne,
Wybrałaś słabego
Na swoją kołyskę i trumnę?

Jako burza kruka,
Tak żądza jej cię ukołysze;
Rozum cię oszuka,
Gdy w sercu nakaże ci ciszę.
Gniazdo twe, co blizkiem
Chmur dziś jest i orłów nadzieją,
Będzie pośmiewiskiem,
Gdy wichry jesienne zawieją.

III.

SONETY.

1.

Ozymandias.

Napotkałem wędrowca, co obszedł świat cały
I mówił: jest w pustyni postać granitowa;
Bez tułowia, jedynie nogi pozostały,
Niedaleko olbrzymia w piasku leży głowa.

Zmarszczone brwi, ściągnięte wargi ocalały.
Tych rysów pogardliwych zwiastuje wymowa,
Że rzeźbiarz znał znikomość wszelkiej ludzkiej
[chwały,
Wiedział, że się szyderstwo na dziele przechowa.

Napis na piedestale wielkimi głoskami:
„Me imię Ozymandias, jam król nad królami.
Drżycie przed moim dziełem: wielka ma potęga!“

Nic więcej nie zostało. Zniszczenie dokoła
Kolosalnej ruiny. Jednostajna, goła,
Szara, płaska pustynia, kędy oko sięga.

2.

Śpieszycie się do śmierci: czegoż w niej szukacie
Wy, myśli niespokojne i próżne badania
Mózgu, w służalczej świata, co chodziecie szacie?
Ty, serce, co od jutra czekasz zmartwychwstania,

Teraźniejszości wieczny, bezlitośny kacie —
I ty duchu, co chciałbyś rozwiązać pytania,
Skąd przyszedłeś, gdzie pójdziesz po powłoki
[stracie
I wiedzieć, co się nigdy ludziom nie odślaniał

O! dokąd tak biegniecie, że pędząc szalenie
Przez piękne drogi życia prędkimi krokami,
Widzicie w szarej śmierci jedyne schronienie

Przed szczęściem i niedolą, radością i łzami?
Serce, duchu i myśli! Czy owo złudzenie
Nadziei po za grobem wciąż was jeszcze mami?
Gabryel Kempner.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Jak dzieci. — Zbrodnia otwierająca nam wnętrze społeczeństwa. — Niestuchany Okolski a wysłuchana Skoblińska. — Sądy statystyków o domach podrutków — Najpewniejszy sposób usunięcia dzieci nieprawych. — Rada dla tych co chcą i mogą. — Rozczarowanie i wróżba. — Kolektory kanalizacji moralnej. — Potomstwo króla perskiego. — Szakale nawrócone do biskoptów. — Odrastający rak.

My tak zawsze — jak zwykle dzieci, które zastanawiają się nad ogniem wtedy do-

piero, gdy sobie nim palce poparzą lub sukienki popalą. Może istnieć w naszym łonie jakieś zło, które sprowadza niemoc, chorobę, zarazę społeczną; może nam tysiąckroć ktoś na nie zwracać uwagę; my, nie zważając na „akademickie“ rozprawy, będziemy dalej bawić się — tiurniurami, karneckikami, księciem Orleańskim, hrabianką w przebraniu mężczyzny poślubiającą kobietę, czerwonymi frakami, jedenastym potomkiem Lesepta. — Licho wie nie czem, ściąganiem z całego świata. Dopiero ujawniona zbrodnia przerywa nam te zabawy i napędza do zacepiejonej o nią kwestyi, którą bez namysłu, bez należytego przygotowania rozstrzygamy improwizowaniem trzy-po-trzy. Nagadawszy się wreszcie przez kilka dni lub tygodni, nasypawszy górę plew z młynków dziennikarskich, wracamy do... tiurniur, księcia Orleańskiego i dzieci Lesepta. A co dokuczało — dokucza, co gnęło — gnęło, co zabijało — zabija.

Akurat przed rokiem *Biblioteka warszawska* zamieściła w dwu zeszytach obszerny artykuł prof. Okolskiego „O domach podrzutek.“ Niestety, było to w karnawale a prztem nie mieliśmy sparzonych palców, więc kto tam chciał myśleć o ogniu! Przeczytano, albo nawet nie przeczytano „rozprawy akademickiej“ i zajęto się karneckikami oraz balem panińskim, który wówczas pochłoniął całą Warszawę. Ale nareszcie zbrodnia, która zwykle otwiera nam wnętrze społeczeństwa i uczy nas socjologii, przykuła myśl naszą do sprawy, do której nie zdołała jej nakłonić nauka; czego nie mógł dokazać profesor uniwersytetu, tego dokazała morderczyni dzieci; nie słuchaliśmy Okolskiego, ale z wielką uwagą wysłuchaliśmy Skoblińskiego.

Od chwili wykrycia czternastu jej ofiar i współników w zabijaniu niemowląt, prasa nasza w rozprawach o niemowlęcych dzieci i podrzutek. Krótki sens tych długich sznurów frazeologii zawiera się w dwu zdaniach: jedni dowodzą, że Skoblińskie są następstwem zniesienia „kółka“ przy szpitalu Dzieciątka Jezus, które dawniej otwierało przytułek wszystkim podrzutekom bez żadnych ograniczeń, drudzy zaś, ostrozej, twierdzą, że „trzeba w ten lub inny sposób złemu zaradzić.“ Co oba te pobożne życzenia nam obiecują?

Prof. Okolski zajął się właśnie w swej pracy oceną moralnej, społecznej i ekonomicznej wartości domu podrzutek na podstawie dowodów i materiału statystycznego, zebranego ze wszystkich państw Europy. Przytoczywszy odpowiednie cyfry, których tu dla braku miejsca powtarzać nie mogę i ciekawego czytelnika odesłać muszę do *Biblioteki warszawskiej* (styczeń i luty 1889 r.), wyprowadza z nich następujące wnioski:

„Łość dzieciobójstw nie zależy bynajmniej od istnienia większej lub mniejszej ilości domów podrzutek, ale od zupełnie innych okoliczności.

„Według Oetingena, tam, gdzie istnieje wiele takich domów, zwłaszcza z kołami, liczba tych przestępstw nie tylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie powiększa.

„Zakłady te nie tylko nie przynoszą zbawianych skutków, ale owszem nieodłącznie są od nich pewne zgubne następstwa.“

Statystyka tedy, doświadczenia na szeroka skalę i badania ludzi tej sprawie oddanych, wywracają zupełnie wiarę w użyteczność i zbawczy wpływ domów dla podrzutek. Dwa główne systemy starają się złagodzić okrutny los tych nieszczęśliwych istot: jeden, t. z. katolicki, zbiera je w przytułkach, drugi protestancki, rozkłada je jako ciężar na gromady społeczne (gminy itp.). Prof. Okolski przechylając się bardziej ku ostatniemu, radzi wprowadzić zapomogi dla biednych matek na wzór istniejących we Francji. Nie przeczę, że te zasiłki, że wogóle wszelkie środki dobroczynne mogą w części ograniczyć i uśmierzyć niektóre bóle tej choroby, ale przeczę stanowczo,

ażebym którykolwiek z nich lub wszystkie razem ją leczyły. Podrzuca lub zabija dzieci głód i wstyd. Głód można powstrzymać od rozpacz i zbrodni łotostwami i pieniędzmi, ale co zrobić ze wstydem? Tu, w sferze zamownej i obyczajowo surowej, urodziła dziecko panna zakochana w cudzym mężu, tam żona, której mąż siedzi w więzieniu lub popełniwszy przestępstwo uciekł, została matką z kochankiem, którego poślubić nie może; tam znowu został ojcem ksiądz — słowem, wyobraźmy sobie wszelkie kombinacje miłości, błędy, uwiedzenia, rozpusty, które kończą się dzieckiem nieprawem i potrzeba ukrycia go, co pomoże „zasiłek dla biednej matki,“ kiedy tu niema żadnej matki biednej, tylko jest nieszczęśliwa i zniesławiona?

„Jednakże trzeba złemu jakoś zaradzić“ — mówimy po odkryciu Skoblińskich.

Jak? Cokolwiek ludziska bredzą sobie na chwałę bałwana, zwanego opinią publiczną, nie ulega to najmniejszej wątpliwości, że każda organizacja, każdy układ stosunków społecznych gwałca naturę i przeciwny jej koniecznościom, ani rozumnym ani dobrym być nie może. Otóż natura nie zna wcale dzieci nieprawych, gdyż wszystkie powołuje do życia jedną drogą i z równym uprawnieniem. Chcąc przeto spełnić jej wolę, należałoby znieść różnice i przywrócić wszystkim dzieciom równoprawność. Dokonać tego zaś nie można innym sposobem, tylko przez zaprowadzenie rodowodu wyłącznie macierzystego. Wtedy nie ojciec wprowadzałby do społeczeństwa dziecko, ale matka, która byłaby zawsze, jak jest obecnie, dla niego prawą. Według dzisiejszych ustaw całego świata cywilizowanego, dzieci, urodzone z kobiety żyjącej w małżeństwie, chociażby miały piętnastu ojców, ani jeden zaś nie był jej mężem, są wszystkie prawe. Iluż to „rogaczów“ zawdzięcza „prawo“ swe potomstwo przyjaściom żon! Daremnie protestowali oni przeciw tym kukułczym jajkom — nie wysłucha ich ani kodeks, ani obyczaj. Jeżeli więc w związkach małżeńskich matka uprawnia dziecko, czemuż niema tego czynić we wszelkich, które są czasem świętsze i czystsze, od uznanych? Ale uspokójcie się, szanowne gęsi Kapitolu, nie myślę go wam burzyć i wiem, że on długo jeszcze nienaruszony stać będzie. Sądzę tylko, że kto bada niedole społeczne i chce im przeciwstawić ideały szczęścia, nie powinien wpatrywać się wyłącznie w to, co objęte ciasnym kołem możliwości jego własnego życia lub kilku następnych pokoleń, lecz także rzucić wzrok dalej, na bardzo odległe stopnie rozwoju i tam dojrzeć ideały i wzory. Przemawiając do dębu, ażeby zamiast zołędzi rodził brzoskwinie, osiągnąłbym ten sam skutek, co przemawiając do dzisiejszego społeczeństwa, ażeby równouprawniło dzieci. Ale taka wycieczka do krainy marzeń nie jest bezowocną: ubezpiecza nas od złudzeń w teraźniejszości i wlewa otuchę, że z dzisiejszego błota, nędzy, krzywd i upodzeń wybrnie kiedyś ludzkość w przyszłości. Jest to sen w nocy o dniu i słońcu.

Tymczasem „trzeba złemu jakoś zaradzić.“ Gdybym wobec tego zła znalazł się w społeczeństwie, któreby chciało i mogło ratować podrzutek z uwzględnieniem obecnego praw, zasad i przesądów, powiedziałbym tak:

Wszyscy my, nie wyłączając ani jednego, w resztkach czasu, pozostałych od pracy zawodowej i rozrywek, bez uzdolnień, wiedzy i systemu partolimy zadanie niezmiernie ważne, jakim jest wychowanie dzieci, które od najpierwszych chwil swego życia powinny być i będą kiedyś oddane pod opiekę i dozór kierownictwa umiętnego w osobnych zakładach. Jak wyłączono z gospodarstw rodzinnych przedzenie, tkanie płótna i sukna, wyrób piwa i kaszy, tak również musi być z nich wyłączone daleko trudniejsze kształcenie dzieci. Jeżeli wszakże prze-

sąd czy naturalna, od wieków przekazująca się miłość rodzicielska wstrzymuje nas od tego postępu, nie tamujemy go dla tych, którzy zeń już korzystać pragną. Istnieje między nami masa dzieci biednych, którymi rodzice zając się nie mogą; przybywa coraz więcej mnóstwo dzieci nieprawych, zabijanych lub wyrzucanych na ulicę. Otóż opodatkowawszy się stosownie, załóżmy dla jednych i drugich wielkie, kosztem ogółu utrzymywane domy wychowawcze, maczarnie, szkoły, w dalszym ciągu rozmaite przybytki, kształcące człowieka do życia i pracy zawodowej. Przez takie instytucje usuniemy niedolę, zapobiegniemy zbrodniom, naprawimy w znacznej mierze krzywdę i osłabimy hańbę dzieci nieprawych, a przygotujemy sobie całe zastępy obywateli kraju z niemowląt, które dziś umierają z głodu, giną porzucane na bruku lub posiekane w korytach dla trzody chlewnej.

Nie byłoby to „rozwiązaniem kwestyi,“ ale przynajmniej rozplataniem kilku jej najdokuczliwszych supełków.

Wszystko to bardzo piękne — wołają nasi publicyści — „trzeba jednakże złemu jakoś zaradzić“ u nas, natychmiast.

A radzicie, czule dusze, ja nie umiem, a nawet pozwolę sobie wróżyć, że nie skutecznego nie uradzicie. Możecie wymyślić jeszcze kilka kojących plasterków, możecie przywrócić „kółko“ przy szpitalu Dzieciątka Jezus, wyposażyć go miłosiernymi ofiarami i zapisami, możecie utworzyć kilka podobnych zakładów, co niewątpliwie sprawi ulgę niedoli, ale nie wytepi Skoblińskich, nie usunie dzieciobójstw i podrzutek, nie zmniejszy śmiertelności w przytułkach*), nie zetrze smrotnego piętna, wypalanego na czołach matek i ich dzieci nieprawych. Tego samą, nawet najhojniejszą filantropią nie dokonacie.

W sprawach poważnych nie należy pieścić się okrywającymi je szychem, ale odgarnawszy go, patrzeć w rzeń rzeczy. Nam się zdaje, że „dom podrzutek“ jest czemś areywniosłem, szlachetnem i mądrym. Tymczasem jest to tylko jeden z głównych kolektorów naszej kanalizacji moralnej, śmietniskiem społecznym, o tyle gorszym od innych, że do niego wpuszczamy i wrzucamy nie ciała zgniłe i bezużyteczne, ale zdrowe, w których sztucznie wywołujemy proces gnicia. Bez wątpienia, zani Baudouinowie mieli czulsze serca od Likurgów, ale w zasadzie domy podrzutek stoją na jednym gruncie z domami nierządu: te otwierają ujście nieuprawnionym namiętnościom, a tamte — nieuprawnionym ich owocom; oba usprawiedliwiają się jedynie tytułem zła koniecznego, oba są przezroczytymi zasłonkami hańby, oba następstwami pogwałcenia natury. Sentymentalizm rozczula się przytułkami dla podrzutek. Zapewne, na razie lepsza to dola dla niemowlęcia znaleźć się pod dachem i dostać trochę mleka, niż ginąć z zimna i głodu na ulicy lub w szponach dusicielki; ale czyż wygranie kilku tygodni życia, otrzymanie pół kwarty mleka i szóstej części piersi mamki albo nawet całej kwarty, całej piersi i całego życia stanowi minimum szczęścia człowieka, niewinnie skazanego na maczarnię? Co winno to biedactwo, zarówno wtedy, kiedy je zrodziła rozpusta, jak i wtedy, kiedy je zrodziła najczystsza miłość, że je tak okrutnie przesładujemy? Za co ono jest porzucane, mordowane, głodzone, a kiedy te tortury wytrzyma, ścigane później szyderstwem i wzgardą? Za co? — spytajmy nasze sumienie. Jeżeli zaś ono nam odpowie, że popełniamy jedną z największych niesprawiedliwości, zastanówmy się, czy ją pokrzywdzonym wynagradza dom podrzutek.

*) Śmiertelność ta jest we wszystkich przerażająca. W przytułku Smoleńskim, według prof. Okolskiego, „w ciągu 20 lat ani jedno dziecko nie utrzymało się przy życiu.

Prasa nasza liczy wielu potomków owego króla perskiego, który bił morze za zatopienie mu okrętów. Są to najnaiwniejsi ludzie pod słońcem. Zdaje im się, że każda przyczyna nieszczęścia można „umoralnić“ i uczynić nieszkodliwą, że oni, gdyby zadali sobie trud, „uszlachetniliby“ parę w kotłach, proch w lufie, wilka, psa wściekłego, mózgi zwyrodniałe, wszystkich i wszystko. Według nich szakał po wysłuchaniu kilku kazań postnych, niezawodnie nabrałby odrazy do mięsa i polubił biskupów. Ci bezwiednie humorystyczni fizjologowie, psychologowie i socjologowie, pominawszy zupełnie potwora społecznego, rzucili się z całym impetem na potwory jednostkowe—na „wyrodne matki“ i „fabrykantki aniołków“, zapewniając uroczysto, że gdyby te grzesznice poddane zostały „wpływowi umoralniającemu“, niezawodnie pierwsze byłyby zaćmami matronami, a drugie—troskliwymi piastunkami ich dzieci—jak nawrócone do biskupów szakale. Naiwnej zgrozy ani na chwilę nie zmąciła im myśl, że Skoblińskie ze swoją naturą się rodzą, że jej nie zmieniają nawet zaprenumerowawszy *Kronikę rodzinną*, że jedynym sposobem ubezwładnienia ich złych instynktów jest niedostarczanie im żeruiłupu, tak jak jedynym środkiem wytepienia robactwa jest czystość. Policja wytropi lub przypadek odkryje odda sądowi jedną Skoblińską, a sto istnień i działań będzie niewyśledzonych i nieukaranych. Gdybyśmy je nawet wszystkie wyłowili i zamknęli w kryminałach, za rok lub dwa powstaną inne, bo wśród milionów ludzi zawsze znajdzie się gromada kobiet, rodzących dzieci nieprawie w nędzy i hańbie. Rak wycięty wtem miejscu, gdzie się ujawnił, nie ustępuje bynajmniej z ciała nim zakażonego i po pewnym czasie wystąpi gdzieindziej. Kto więc chce być rzeczywiście lekarzem społecznym, powinien myśleć o kuracji całego organizmu, a nie zewnętrznych objawów choroby. Oddajmy Skoblińskie sądom lub patologom i psychologom, a my zajmijmy się badaniem i poprawą stosunków życia. Wtedy przestaniemy uwijać się koło społeczeństwa z olejkami i plasterkami apteczki domowej a wytworzymy dla niego terapię i higienę gruntowną, uzdrawiającą i ochronną.

Posel Prawdy.

KRONIKA.

Szkoły. Według świeżego rozporządzenia ministerium komunikacji, wychowawcy kolejowych szkół technicznych, odbywający dwuletnią praktykę dla otrzymania patentu, obowiązani są nosić czapki mundurowe szkół technicznych z dodaniem znaku kolei, na której odbywają praktykę.

— W sprawie wykładu w średnich zakładach naukowych gimnastyki i obrotów wojskowych, ministerium oświaty otrzymało od kuratorów okręgów naukowych szereg żądań wyjaśnienia wielu wynikłych stąd kwestyj. Ogólne wprowadzenie wykładów natrafia na przeszkody z braku odpowiednich pomieszczeń. Prawie żadne gimnazjum, szczególnie na prowincyi, nie posiada dość wielkiej sali, należycie ogrzewanej, odpowiadającej nauce gimnastyki dla kilku klas razem; każda więc musi się uczyć oddzielnie, czemu jeden etatowy nauczyciel nie może poddać, mając ograniczony czas wykładu pomiędzy godziną 10 a 2 (lekcyja gimnastyki nie może być pierwszą lub ostatnią). Wreszcie przy planie lekcji w gimnazyjach i personelu nauczycielskim trudno odnaleźć czas na wykład gimnastyki, pomimo skrócenia godzin do 50 minut przy wykładzie wszelkich innych przedmiotów.

— Ministerium dóbr państwa zamierza otworzyć szkołę specjalną w jednym z punktów uprawy lnu.

— W tomaszowskiej szkole miejskiej ma być zaprowadzona nauka tkactwa i przedzalnictwa, na co miasto ofiaruje 350 rs. i rząd 300.

— W czteroklasowej szkole rzemieślniczej w Łodzi od r. 1888 zaprowadzono wykład introligatorstwa i tokarstwa, dwa razy tygodniowo. Koszt. zaprowadzenia

wynosił 250 rs., utrzymanie roczne 750 rs. Szkoła liczy 162 uczniów.

— Wyznaczono pół miliona rubli na zakładanie szkół technicznych, przeważnie w okręgach fabrycznych.

— Austriacki minister oświaty udzielił 300 zlr. zapomogi szkołom przemysłowym w Krakowie, których zreformowania domagają się tamtejsi rektorzy.

— W gimnazyjach austriackich mają nastąpić ważne zmiany w systemie nauczania geografii, historii i nauk przyrodniczych.

— Studenci wszystkich uniwersytetów austriackich wszczęli zażagł z profesorami z powodu niewłaściwego postępowania tych ostatnich.

Egzaminy. Z rozporządzenia ministerium komunikacji wszyscy kapitanowie statków parowych i maszyniści prywatnych żeglug parowych mają być połączeni do egzaminów ze znajomości przepisów dla żeglug parowej.

Zakłady dobroczynne. W warszawskiej radzie gubernialnej dobroczynność publicznej projektowane jest otworzyć wkrótce domów schronienia dla starców i kalek w miastach: Błoni, Kutnie i Garwolinie.

Wystawy. Wystawa w Warszawie koni i przedmiotów, mających związek z ich chowem, oraz gospodarskiego inwentarza żywego nie przyjdzie do skutku z powodu braku funduszu gwarancyjnego i chęci do brania w niej udziału. Z tego powodu—jak się dowiaduje *Kur. warsz.*—wystawa ta z nowym programem odłożona będzie na r. 1892 lub 93. Nagrody przyznawane będą przeważnie grupom przychówków stadninowych, zrodzonych po r. 1890.

— W Berlinie zapowiedziane są wystawy: od 25 kwietnia do 5 maja wielka powszechna ogrodnicza, od 12 do 22 czerwca pierwsza powszechna wystawa koni.

— W Londynie otwarto wystawę blyków i trycyków z udziałem 270 fabryk.

Zjazdy. W zjeździe pocztowym w Petersburgu przyjęto udział 40 państw.

— Podczas tegorocznej wystawy rolniczo-leśnej w Wiedniu odbędzie się kongres międzynarodowy, na którym roztrąsane będą ważne sprawy, dotyczące gospodarstwa wiejskiego i przemysłu rolnego.

Sprawy kolejowe. Wkrótce rozpoczęta będzie budowa linii Żmerynka-Mohylew.

— W zarządach kolejowych w Królestwie poruszono sprawę powierzenia niektórym zajęć służbowych kobietom, o ile ministerium komunikacji nie będzie miało nic przeciwko temu. W tym celu zarządy porozumiewają się między sobą, jakie mianowicie obowiązki mogłyby być poruczone kobietom i jaki procent ich w stosunku do całej służby mógłby znaleźć zajęcie. Jeżeli projekt przyjdzie do skutku, pierwszeństwo mieć będą wdowy i córki po urzędnikach danej kolei.

— Dyrekcje kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej poleciły na drzwiach wchodowych do swoich biur przybić ogłoszenie zawiadamiające, że prośby o posady, z powodu zupełnego braku wakansów, nie są przyjmowane.

— Projekt inżyniera Weissblata zbudowania w Łodzi kolei obwodowej i połączenia siecią dróg oddzielnych fabryk z koleją Fabryczno-Łódzką, znajduje się obecnie w ministerium spraw wewnętrznych. Linie te przejść mają przez grunty przeszło stu kolonistów.

— Projektowany oddawna w Warszawie dworzec centralny dla wszystkich kolei ma wkrótce przyjść do skutku. W tym celu będzie ogłoszony konkurs architektoniczny.

— Na kolejach Południowo-Zachodnich od 13 lutego wprowadzono nowy podatek, zatwierdzony przez ministerium: 1/3 kop. od każdego puda towarów, przywożonych na stacje tych dróg.

— Rozpatrywana jest obecnie przez rząd sprawa, w jaki sposób można by w przyszłości uniknąć zwłoki w transportowaniu towarów zbożowych. Postanowiono co rok na zasadzie zebranych szczegółów statystycznych o przewidywanym urodzaju zgromadzać na pewnych liniach kolejowych większą ilość taboru ruchomego.

— W dalszym ciągu reform na kolejach węgierskich bilety jazdy sprzedawane będą we wszystkich urzędach pocztowych, dystrybucjach, zakładach kąpielowych, hotelowych itd., mogą być one zużyte w czasie dowolnym.

Handel. Polescy właściciele lasów zamierzają połączyć się w spółkę, aby uniknąć wyzyskiwania ze strony handlarzy drzewem (trochę zapóźno!).

— Z Sosnowia donoszą, iż tamtejsze magazyny towarowe (kolejowe i prywatne) przepelnione są zbożem, którego wysyła do Prus i Austrii ze względu na niskie ceny, nie przedstawia żadnych korzyści. Dalsze przyjmowanie zboża wstrzymano.

— W Irkucie pod firmą „Orłowski i S-ka“ otwarto kantor handlowo-komisowy, w celu wymiany towarów, tudzież zaopatrywania Irkucka w niektóre produkty tutejsze.

Przemysł. Trzynastu właścicieli większych cegielni, istniejących w okolicach Warszawy, zawładuje spółkę, której zadaniem będzie zogniskowanie handlu cegielnianego.

— Sześć fabryk mniejszych w Łodzi ograniczyło godziny zajęcia robotników (czyli i placę!).

— W Wilmie powstaje fabryka ołówków.

Konkursy. Redakcja *Rolnika i hodowcy* ogłasza konkurs na ułożenie wzorów ksiąg rachunkowych łatwych do prowadzenia, któreby wykazywały dochody z majątku i stosunek do wydatków osoblistych właściciela. Termin nadsyłania prac: 31 marca 1891 r. Nagroda 300 rs. Praca nagrodzona stanie się własnością redakcyi.

— Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych ogłasza konkurs malarski im. Wojciecha Gersona na obrazy historyczne, z zakresu religijnego alegoryi lub mitologii, niewystawiane nigdzie. Deklaracje artystów przyjmowane będą do 15 grudnia r. b., obrazy — do 30 tegoż miesiąca. Nagroda 600 rs. Wystawa konkursowa otwarta 1 stycznia r. 1891 trwać będzie sześć tygodni.

Wiadomości społeczne. Dyrektor bawlejącej w Warszawie orkiestry węgierskiej, da koncert na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi.

— Towarzystwo ubezpieczeń od wypadków, „Pomoc“, uzyska koncesję na rozszerzenie swych operacji przez dobranie działu ogniowego i transportowego. W tym celu kapitał, wynoszący dziś 500,000, powiększony będzie o milion.

Bibliografia. Niewiadomski, *Racjonalne projektowanie linii objazdowych na kolejach żelaznych*, Warszawa, str. 39 i tablice.

— E. Broniewski, *Tablice graficzne do dziejów Europy*, wieki XIII i XIV, ark. 5.

— Lucyan z Samosaty, *Rybak* czyli Zmartwychwstałi filozofowie, przełożył E. Weidel, Warszawa, str. 50.

— A. Suligowski, *Drugi zjazd prawników i ekonomistów polskich*, Warszawa, str. 106.

— J. Starkman, *Encyklopedia medycyny i higieny*, zeszyt 4.

Zmarli. Katarzyna Lewocka w Warszawie, pisarka dla dzieci.

— Dr. Krzysztof Bułjs-Ballot, meteorolog holenderski, prof. wszechznicy w Utrechie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu E. Kor. w Czechr. 1) Rzeczywiście, ale głównie we Francyi, gdzie odegrały rolę względy polityczne; 2) jakie to mają być „nowe prawdy“—nie wiemy, ale nowy, przynajmniej Zachodowi nieznany materiał życia—tak; 3) o naszej we Francyi mniej, w Niemczech więcej.

Uwaga. Redakcja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

O g ł o s z e n i a.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim po porozumieniu się z p. Józefem Chełmońskim, artystą malarzem, postanowił urządzić w m. kwietniu r. b., w głównej sali lokalu Towarzystwa, oddzielną Wystawę prac tego artysty. W tym celu Komitet ma zaszczyt odnieść się niniejszem z uprzejmą prośbą do wszystkich posiadaczy obrazów p. **Józefa Chełmońskiego**, aby raczyli przyczynić się do uświetnienia i wzbogacenia zamierzonej Wystawy i przysłać rzeczzone obrazy przed dnem 1 kwietnia r. b. bezpośrednio pod adresem Komitetu Towarzystwa (Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście 15) na koszt Towarzystwa (jeżeli koleją żelazną z prowincyi lub z zagranicy, to par petite vitesse) z załączeniem dokładnych adresów swolch. Obrazy te przez cały czas pozostawiana w lokalu Towarzystwa zaasekurowane zostaną w Warszawskim Towarzystwie Ubezpieczeń od ognia w wysokości, jaką każdy z posiadaczy na swój obraz oznaczy, i po upływie terminu Wystawy, która trwać będzie od 4 do 6 tygodni, zwrócone zostaną również kosztem Towarzystwa. Pokwitowania z chwilą otrzymania obrazów wydawane lub wysyłane będą natychmiast.

GUBONINA

WINA

Stołowe, Szampańskie, Clarette, Portwein i inne,

znane jako najlepsze wina krymskie, nieustępujące w niczem najwybo-rowszemu markom zagranicznym.

Skład główny u **Leona Kirsztot-Prawnackiego**, Krakowskie-Przedm. 7, Wejście z podwórza.

Handlującym rabat.

DYREKCJA FABRYKI

Octu Zbożowego

Przedokopowa Nr. 36, Telefonu 505, w Warszawie.

ma zaszczyt zawiadomić, że z dniem 15 Stycznia 1890 r. wszelka sprzedaż z naszej fabryki na Cesarstwo i Królestwo odbywać się będzie tylko w Kantorze dla wyłącznej sprzedaży Octu zbożowego, ulica Chłodna Nr. 64, Telefonu 477, zamówienia jednak miejscowe dla dogodności pp. odbiorców załatwia również i fabryka.

Octet zbożowy jest najzupełniej czystym wytworem z wina zbożowego, przyjemnego smaku i naturalnego zapachu i jako taki rzeczywście jest jedynie **NAJZDROWSZYM**, najlepszym, a prztem i **NAITANSZYM OCTEM SPOŻYWCZYM**.

Octet zbożowy wyrabia się co do mocy w sledmle numerach, a mianowicie Nr. 0, 1, 2, 3, kuchenny Nr. 4 i 6, stołowy Nr. 8, najmocniejszy konserwowy. Sprzedaż dopełniać się będzie w beczkach około 50, 40, 25 i 13 garncy zawartości.

Ażeby dać możność pp. Konsumentom przekonania się o dobroci **ORYGINALNEGO Octu zbożowego**, postanowiliśmy rozszerzyć zbyt naszych mocnych gatunków Octu Nr. 4, 6, 8, także w butelkach, napełniając takowe tylko w fabryce.

Butelki wychodzące z fabryki, opatrzone są kapslami i etykietami z zarejestrowaną **marką fabryczną**; za dobroć więc i czystość tych tylko octów bez żadnych zastrzeżeń odpowiedzialni jesteśmy.

Octet zbożowy jest już do nabycia w niektórych znaczniejszych Składach aptecznych, sklepach kolonialnych i spożywczych, składach win i t. p. tak w Warszawie jak i na prowincyi. Szczegółowa lista firm, które tylko Octet zbożowy sprzedawać będą, po sformowaniu takowej wkrótce do wiadomości publicznej w gazetach podana zostanie.

Podana przez **SMOŁĘ** przechwała, jak kilkakrotnie wykazałem, jest tylko **BLAGA**, oparta na własnej reklamie dla zło-wienia świeżego współnika.

!! TYSIĄCE ŚWIADECTW !!
PEWNY SRODEK
„EXSICCATOR”
OSUSZA WILGOĆ,
ZABEZPIECZA DRZE-
WO OD GNIA, GRZYB
Kaitp. — BROSZUR
KA ILUSTROWANA
BEZPŁATNIE.
POSZUKUJE
AGENTÓW
Wyn. Inż. G. Ritter.
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Preparatu tego nie należy porównywać z reklamowanymi smołami, vel gudronitami.

DYNOS' EAGENIKOS
Wina Greckie
znakomitej do-
broci w 6-ciu
gatunkach.
Skrzynki
po 12 Butelek
w cenie
Rs. 10 kop. 80
wysyłają do
wszystkich sta-
cyj w Kró-
stwie franco.
Bracia Kempnerowie, Długa, 5.

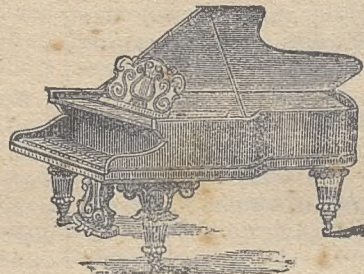
GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

Sprzedaż

na raty.



Wynajem

instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

SREBRNE

Przybory dziecinne na pamiątkę chrztu, Puhary, Karafki do wina, Kubki, Ecritoiry, Wience laurowe, Wience i drzewka mirtowe na srebrne wesela, Papie-rośnice, Zapalniczki, Bransolety, Brosze, Catelainy i Breloki, w wielkim wyborze, najnowsze i najpię-kniejsze, poleca:

MAGAZYN JUBILERSKI

M. MANKIELEWICZA

w gmachu Teatru pod filarami.

„Na Raty” Lustra

sprzedaż miejscowym i na prowincye
Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

UWAGA. Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na dokładny adres z powodu istniejących firm podobnych i na umieszczony w wystawie napis „Na raty.”

Najnowsze Książki

Czytelnia

K. PASZKOWSKIEJ

14, Chmielna, 14.

**Binokle, Okulary
LORNETKI**

oraz wszelkie wyroby optyczne
o 25% taniej

najlepiej kupić u optyka

JULIANA DREHERA

Szpitalna 6, w Warszawie.

Wszelkie reperacje przyjmuje.

FABRYKA REKAWICZEK I KRAWATÓW,

Magazyn Galanteryjny

pod firmą:

HIPOLIT

MARSZAŁKOWSKA 145, W WARSZAWIE,

poleca się.